

Rajmund Drozd „Mikrus”.

Urodziłem się w 1928 r. w Wilnie. Mojego ojca znali, mój ojciec był znany. Był w 5 pp. leg. kierownikiem budowy obozu ćwiczebnego dla garnizonu wileńskiego w Kojranach. Budowa trwała kilka lat. Wtedy „Łupaszki” jeszcze nie znał, ale ja „Łupaszkę” widziałem. Coś tak sobie przypominam, że go widziałem na Pośpieszce (to rogatki wileńskie, wyjazd z Wilna na Niemenczyn, na Święciany, Postawy).

W czasie kampanii wrześniowej ojciec był w armii „Narew” i został internowany na Litwie. Uciekł z obozu i przyjechał do domu. Myśmy wtedy byli w Kojranach. Strażnikiem obiektów wojskowych, takim dozorca, był Niedźwiedzki. Miał uniform wojskowy. na nocną służbę dostawał karabin - „Mauser”. Mieszkał w takim czworaku, w Górnych Kojranach. Obok był olbrzymi poligon, na którym już ćwiczyli Ruskie. Ziemia na tym poligonie była nieurodzajna - takie lotne, żółte piachy. No i któregoś razu w czołgu nie zapalił silnik i ruskie nie mogli wyjechać. No i wpakowali się to tych czworaków. Niedźwiedzki zaprosił ich do środka. To była chyba jakiś okres świąteczny - nie pamiętam dokładnie. No i ojciec był tego dnia pijany. Byliśmy całą rodziną w gościenie u Niedźwiedzkich. Niedźwiedzki też był pod gazem no i zapraszał Ruskich:

- Pażaušta, to dla was... - itd. No, ale ojciec czuł się tu jako gospodarz, bo tu budował wszystko przecież. No i widział jak te skurwysyny, ten motłoch, włazi tu. No i pijany, nie panując nad językiem, zaczął im walić z góry, że on to budował itd. No i wtedy aresztowali go po raz pierwszy, ale że uznali że gadał po pijanemu, to wypuścili go.

Ale od tej pory mieli go już jako notowanego.

© ARCHIWUM WILNOŃSKIE

Tu ci podoficerowie i oficerowie „wachali” się. Przypominam sobie, że ojciec jakieś konszachty, interesy, wtedy z nimi miał. Co to było, to nie wiadomo, bo dzieciak nie mógł tego wiedzieć. Wiem, że jeździł do Świecian, które wtedy były za granicą, ale nie pamiętam już którą, czy na Białorusi, czy na Litwie. W każdym bądź razie tam była granicy i na granicy ojciec został złapany. Sowieci przywieźli go na do Wilna, na Łukiszki. Tym razem już z tego nie wykręcił się. Dostał chyba 25 lat zsyłki. No i są dwie wersje na temat jego śmierci. Pierwsza to taka, że zmarł w w 1942 r. Kenimech, w szpitalu epidemiologicznym, nas tyfus. Druga wersja była taka, że został zastrzelony w czasie ucieczki z transportu. W 1957 r. dostałem list z Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, przysłali mi wiadomość, że zmarł w Kenimech.

Znałem „Nieczuję”, który przed wojną był kadetem. Chodził w tym mundurze, to my, dzieciaki, jak psy za nim ganialiśmy, bo to była sensacja. Z jego bratem Jedrkiem razem do szkoły chodziliśmy. „Janosik” (średni brat „Nieczui”, oprócz „Janosika” był jeszcze jeden, trzeci) zginął w Worzianach. Czapskich (którzy byli wcześniej w Brygadzie) też znałem, bo klasztor Redemptorystów był na Pośpieszce, to chodziliśmy tam do kościoła. Tak że potem z Pośpieszki w Brygadzie było kupę ludzi. Potem jak dołączyłem do Brygady to po mnie przyszli jeszcze z Pośpieszki: „Kartacz”, „Bezimienny 1”, „Bezimienny 2”, „Rusak”, „Leon”.

W V Brygadzie, w której znalazłem się gdzieś w połowie lutego 1944 r. Przyszło nas trzech: „Baran”, Maniek i ja. Byliśmy właściwie dzieciakami (uciekłem z domu) - więc chcieli nas do domów odesłać - Bronek był najstarszy, to z nim jeszcze nie

było kłopotu, ale ja np. miałem 14 lat. Jednak jakiś miesiąc wcześniej „Miecia” wzięli do oddziału - był mniej więcej w moim wieku. „Aldona” nie chciała być mniej ważna od „Lalki” i też chciała mieć dzieciaka [za adiutanta?]. Przez trzy dni byliśmy zatrzymani i byliśmy pilnowani przez żandarmerię „Podbipięty”, ale w ciągu tych trzech dni zdobyłem sympatię „Podbipięty”. Akurat zakończyła się odprawa dowódców. „Podbipięta” podszedł do nich pokazać nas komendantowi i wtedy „Maks” powiedział:

- To cóż, ja go wezmę do siebie - a „Podbipięta” wtedy w krzyk: -

- Nie, ten mały był u mnie pierwszy i ja go wezmę. - „Maks” to był najstarszy partyzant. Miał poważanie u „Łupaszki”. Śmieje się i mówi:

- Ty nie masz żadnej kobiety, a ja mam kobietę u siebie, to będzie miał u niej starunek i opierunek. - I tym sposobem trafiłem do 3 szwadronu „Maksa”. I zaraz miałem chrzest bojowy w Pogołomi na Litwie w walce z Litwinami. Szliśmy tam dwa czy trzy dni, a wróciliśmy w ciągu jednego. Potem tych akcji było dużo.

W czerwcu 1944 r. szykowało się już powstanie wileńskie. Początkowo należeliśmy do zgrupowania „Węgielnego”, a potem przenieśli nas do zgrupowania Pohoreckiego, bo to że wcześniej biliśmy się z tymi „markowcami” i „manichinowcami”, to będziemy z drugiej strony Wilna i nie będziemy mieli bezpośredniego styku z Sowietami. Kiedy front się zbliżał - słychać to było, bo działa dudniły.

„Łupaszka” to był prosty żołnierz, taki prostoliniowy. To nie był dyplomata czy polityk. Dzisiaj przypisuje mu się, że to jego zasługa, że wyprowadził Brygadę. Po prostu dostał wolną

reke, bo widocznie w Okręgu rozważano, że jesteśmy najbardziej narażeni... (stąd nasza brygada nazywała się: Brygada Śmierci), były rachunki nie zakończone z Sowietami i przewidywali widocznie, że jak nas dostaną, to od razu na miejscu nas wszystkich wykoszą jak to było z oddziałem „Kmicica”. Ruszyliśmy więc na Olitę. Jeszcze wtedy było nas kilkuset - może z 500. Na krótko zatrzymaliśmy się w Suderwi. Jak front przewalał się koło nas, to mieliśmy styczność z Rosjanami. Z Ruskimi wymienialiśmy „Gwintowiki” na eleganckie „Mauzery”. Byliśmy pod Strużanami, na jeziorach. Brygada rozrzucona po całej okolicy. Po cichu szykujemy się do marszu na Wilno, ale raptem przychodzi rozkaz, że ci którzy chcą, mogą zrezygnować, mogą być zwolnieni z przysięgi i wracać do domu. „Maks” wzywa mnie i pyta się

- Słuchaj mały, a ty jak? - A ja na to, oczywiście pełen zapалу bojowego, odpowiadam twardo:

- Gdzie? Do domu? Żeby matka jeszcze lanie sprawiła mi za tę partyzantkę. Nic z tego, ja zostaję. - No i zostałem się. Wyruszyliśmy na Grodno. Po drodze kluczyliśmy. Trafiliśmy aż pod Olitę. Tam chcieliśmy Niemen przejść mostem, ale wpakowaliśmy się na kacapów, bo byliśmy już na zapleczu frontu. Poszedł patrol na most. Moskale nie przepuścili. Powiedzieli:

- Nielzia. - Zdjęliśmy więc opaski, wszystkie emblematy: błękitne otoki (symbolizowały 4 pułk - jaki] i przekształciliśmy się w warszawski oddział partyzancki, który wraca z gościnnych występów na swoje tereny. Pozmienialiśmy też pseudonimy: „Łupaszka” to był jakiś „Żelazny” itd. Kazano nam wszystkie dokumenty, jakie tylko kto miał, zdjęcia itp. poniszczyć. No i potem ci którzy nie poniszczyli, to się uchowało do naszych czasów.

Doszliśmy do wsi chyba Dubinki (co do nazwy są różne wersje). [Czy to było gdzieś pod Olitą? wyjaśnić, bo tu coś się nie zgadza - Olita już była]. Rano za nami Moskale przyszli. W tym czasie brygady wileńskie zostały już rozbrojone, ale my jeszcze nic o tym nie wiedzieliśmy. Już „Smiersz” wymacał, że wszystkie brygady są, tylko piątej brak.

Sowieci przyjechali gazikiem do miejsca postoju sztabu. „Łupaszko” się schował i wystąpił „Bohun” w roli dowódcy brygady. No i Sowieci mówią, że w lesie jest jakiś oddział germański i żebyśmy przyszli pomóc otoczyć ten oddział i zlikwidować ich. „Bohun” odpowiedział, że:

- Jesteśmy po forsownym marszu, ludzie są zmęczeni. Kiedy wypoczna, to oczywiście bardzo chętnie weźmiemy w tej akcji udział. Kacapi byli jednak tak namolni, że nie można było się ich pozbyć, więc poświęcono kawalerię, bo przecież ci co jechali na koniach nie byli zmęczone - tylko konie były zmęczone. Kawalerią dowodził wtedy „Tatar”. A nasz, trzeci szwadron, też przesiadał się wtedy na konie. Już prawie połowa szwadronu była na koniach. Ja początkowo miałem konia, ale zabrali mi go i oddali jakiemuś chłopu, bo to był mały koń i jak raz na wieś nadawał się. W zamian za niego wzięli dobrego, wierzchowego konia, którego dostał „Ułan”. Jak sprawdzali mnie, czy nadaję się do kawalerii, to widząc jak jeżdżę na koniu, jak trzymam się w siodle orzekli, że jestem urodzony ułan.

Mój ojciec był zawodowym [dokończyć]. Służył w jednostce w Kojranach. To jak konie ze stajni (to były konie taborowe) prowadzili nad rzekę poić, to była cała frajda jeździć tymi końmi. Większość mieszczuchów to bała się koni.

W każdym razie tę kawalerię to poświęciliśmy. Poszło 60 ułanów i ze 20 z naszego, 3 szwadronu. Sowieci wszystkich aresztowali. Jednak dzięki temu, że dwóm z kawalerii udało się uciec - jednym z nich był „Jarek” Jerzy Jarkowski, to powiadomili nas. Od razu zarządzono alarm i natychmiast wymarsz. Akurat jedliśmy śniadanie przy stołach. Odskoczyliśmy trochę i na postoju zarządził odprawę dowódców. [wyjaśnić czy to zaraz po otrzymaniu wiadomości o aresztowaniu kawalerzystów, jeszcze przed wymarszem była odprawa czy dopiero na pierwszym po wymarszu postoju była ta odprawa?]. Dowódcy poszli na odprawę do „Starego”. Ten powiedział tak:

- Jesteśmy wytropieni. Żeby przebić się całością sił - nie mamy żadnych szans. Musimy rozbić się na malutkie gupki. Koncentrację wyznaczam w lasach augustowskich, przy kanale, w leśniczówce (tu podał nazwę, której dziś już nie pamiętam, była jakieś 4-7 km. od kanału). Każdy z dowódców zbiera ochotników, którzy chcą dalej kontynuować marsz. Brać ich ze sobą i rwać w augustowskie. Reszta ma wolną rękę. Kto chce - wraca do domu. Broń mogą zabrać ze sobą. -

Wielu rzucało broń. „Luzakiem” „Łupaszki” był Kowalski. Miał karabinek kbk „Mosin”. Rzucił go. Podniosłem karabin, to zanieśliem go aż w augustowskie. Większość wróciła (grupkami) na tereny wileńszczyzny. Np. „Mścisław” zebrał taką grupkę i dotarł aż pod Wilno i tam chodzili aż do 1945 r. Również taki kapr. „Jastrząb” wrócił pod Wilno i tam zginął. Cała masa ludzi tak zrobiła. Wracali w grupkach po 3 - 4. Dużą grupę trudno było wyżywić, niebezpiecznie kwaterować. Przedzierali się i wracali na swoje pielesze wiedząc, że tam są większe szanse na przetrwanie. Iść na zachód bali się, bo nie znali tych terenów. „Łupaszko” wziął ze sobą tylko swój sztab -

ściśle grono: „Lalkę”, „Miecia”, „Orszaka” i „Orana”. Odeszli 4-5 km. w kierunku na Mosty i biwak zrobili sobie na łąkach. Tam postanowili doczekać do zmierzchu. A my, cała reszta, cała ta chołota, od razu, bez odpoczynku rwała we wszystkie strony ciągnąc za sobą kacapów, którzy szli za nimi jak myśliwy za zwierzyną. Jedna z takich grup, prowadzona przez „Zygę” czy „Nieczuje” natknęła się na biwakującą grupę „Łupaszki” i dołączyli do nich. W tej grupie był „Zeus”¹, który miał „mg.” W tej grupie był też „Szaszka” - szwagier „Łupaszki”, „Czortek”, „Leszek”, „Elila” i łączniczka „Halina”. Był tam też Bezimienny ps. „Kartacz”. W sztabie V Brygady był zbrojmistrzem, to był mój sąsiad z Wilna. Przed wojną służył w 13 pułku ułanów w Nowej Wilejce.

Grupa „Łupaszki” najpierw poszła pod Wołkowysk, bo „Halina”, która pochodziła z tych terenów (z Porozowa) mogła spróbować nawiązać kontakt. Oczywiście pod Wołkowysk szli zupełnie na ślepo - bez żadnych kontaktów. No i gdy „Halina” odwiedziła w Porozowie kilka znanych jej osób, wówczas zgłosił się do nich jakiś porucznik „Leszek”.

Natomiast „Elila” nawiązała kontakt z komendantem Okręgu AK Białystok „Mścisławem”

Wracając do mojej grupy. Uzbrojenie mieliśmy słabe: „Aldona” - „Nagan”, ja „Mosina” od Kowalskiego, „Herman” miał „Mauzera”, to samo „Florek”, nie wiem co miał „Jarek”. „Akacja” miał MP-i”. Broni maszynowej raczej nie braliśmy, bo

¹ Jego przyszła żona „Jachna” była w 1943 r. z matką i ojcem u „Kmicica”. Gdy „Markow” rozpieprzył tą całą bazę, to ich akurat tam nie było. Tak więc dopiero w marcu 1944 r. przydzielili ją do organizowanej właśnie 4 brygady.

nie wiedzieliśmy jaka jest sytuacja na terenach, przez które zamierzaliśmy przejść. Zawadzała by nam tylko.

Pamiętam, że spotkaliśmy grupę 10 Niemców: mieli 1 „Mauzer” i 1 pistolet - belgijkę bez amunicji. Kijami podpierali się, bo to ranni byli. Zarośnięci. Widziałem jak jeden taki zarośnięty Niemiec usiadł w kucki, wyjął małego kartofla - jakie to wtedy kartofle mogły być, przecież to lipiec a kartofle dopiero na jesień kopie się - pokroił na plasterki i wsunął. Na surowo.

Próbowaliśmy jakiejś żywności zdobyć, ale wszędzie, gdzie zaszedliśmy, to kacapami było zapchane. Lasy aż się trzęsły od Sowietów. Więc i my próbowaliśmy jeść te ziemniaki, niemal na surowo, bo tylko trochę podgrzany w ognisku. Dowódca zaraz kazał je zgasić, żeby Sowietów nie ściągnąć.

Pod drodze dołączyło do nas kilku z kompanii szturmowej. Któryś tam zawadził karabinem o przeszkodę i „Arturowi” nogę przestrzelił. Po latach dopiero dowiedzieliśmy się, że nogę tę amputowano mu. Zostawiliśmy go gdzieś na gajówce, w spichrzu. Jakaś dziewczynę sprowadziliśmy, żeby zaopiekowała się tym chłopcem, a my wyruszyliśmy dalej w drogę.

Z „Maksem” wyruszyło 18 ludzi, a nad Niemen dotarło chyba 11 (łącznie z „Maksem”). Gubili się po drodze. Nogi tak obtarłem, że buty zdjąłem. W skarpetach szedłem, to szybko tylko góra z nich została. Jak weszliśmy w lasy wieczorem, to noc zrobiła się tak czarna, że bandaże wywieszaliśmy na plecy, że jeden drugiego nie zgubił. Szperacze drogę musieli odszukiwać przy pomocy latarki.

Po dwóch dniach od rozwiązania Brygady dotarliśmy nad Niemen. To chyba była jedna noc i dwa dni marszu. Potężny, forsowny, marsz. Jak szliśmy nocą, to wydawało się, że nigdy się ona

nie skończy. Rozpadał się deszcz. Wleźliśmy więc pod taki daszek na żerdziach (słomy jeszcze nie było). Obok stała chałupka. Myśleliśmy, że będziemy tam kwaterować. Trochę mleka zdobyliśmy to wypiliśmy po pół szklanki i to wszystko. Dla reszty mleka już nie było. Babina miała jedną krowę to dawała tyle tego mleka, co koza. A chleba już nie było. Nic zresztą nie było. Zaczęliśmy drzemać, ale zaraz nas wypędzili - dalej w drogę.

W końcu, jeszcze tej nocy, znaleźliśmy się nad Niemnem. Rzeka wydała się nam tak potężna, że dwóch chłopaków od razu zrezygnowało z przeprawy. Nasza Wilija czy Stracza to też były przecież niemałe rzeki, ale tej końca nie było widać w ciemnościach. Gdy tak popatrzyliśmy z góry - nasz brzeg był wyższy - to rzeczywiście wszystkich strach ogarnął. Któryś z nas znalazł ukrytą w krzakach dłubanę: była dziurawa, mokra, wydłubana w jednym pniu, koryto. Poszedł patrol - z parkanu wyrwali żerdzie, bo wiosła nie było, krypę wyciągnęli do wody i robimy przeprawę. Za przewoźnika robił „Ryszard”. Nie było co marzyć, żeby wszyscy mogli z niej skorzystać, bo widać było, że wystarczy tylko drgnąć i zaraz wywróci się. Na sucho zdołali przeprowić się tą krypą tylko „Aldona”, „Maks” i „Akacja”, a reszta szła wpław i ciągnęła tę krypę, bo siedzący w niej nie zdołaliby ruszyć jej z miejsca. Broń i mundury były w krypie. Jakies 500 m. czy kilometr dalej był ruski most pontonowy, więc szliśmy cichutko dotąd, aż prąd zbijał już z nóg, chociaż dla mnie woda nadal była do piersi. Po prostu rzeka tak rozlana była. Puściliśmy wtedy te koryto. Od razu zakreśliło nim. „Ryszard” chciał wiosłem zahamować ten ruch i jak mnie przywalił pod brodę to guza miałem chyba z 10 lat. No, ale żesz ja nad Wilią chowany - bez problemu odbiłem

od krypy i przepłynąłem ze środka rzeki na drugi brzeg. Obok mnie płynął taboryta ze sztabu Brugady - „Dudek”. Złapał go wir. Zdażył tylko krzyknąć:

- Jezuu! Ratun...! - i krzyk przerwał bulgot wody, która go wchłoneła. Zakotłowało się i cisza. „Dudek” utonął.

Przeprawili się: „Maks”, „Aldona”, „Akacja”, „Herman”, „Florek”, „Kostek”, „Jarek” i ja czyli ośmiu. „Ryszard” trzy razy zawracał na drugi brzeg, po tych którzy tam czekali, czyli: „Aldona”, „Maks” i „Akacja”. Za pierwszym razem tylko nasze rzeczy i broń przewieziono, tak mało było miejsca. „Aldona” była tak przerażona, że jak „Kostek” ją przewoził, to medalik wsadziła do ust a drugi trzymała w ręku, żeby jak przyjdzie się utopić, to nie wołać: ratunku!

Buty „Dudka”, które leżały na łódce wymieniliśmy w pierwszej napotkanej wiosce na bochenek chleba, który akurat pieczono. Zagłębiliśmy się w Puszcze Augustowską. Znaleźliśmy się gdzieś aż koło Gib. Na odpoczynek zatrzymaliśmy się na łąkach w takiej olszynie, przy rzece. „Aldona”, po cichu, wetknęła mi w rękę kawałek chleba. Rankiem ruszyliśmy na południe, w kierunku wyznaczonej przez „Łupaszke” na koncentrację brygady, położonej nad kanałem leśniczówki. Po drodze natknęliśmy się na obozowisko ruskich. Na szczęście w porę zauważyliśmy wartownika. Siedział w kucki w krzakach i machorkę palił. Gdy zaciągnął się ogień skręta rozjarzył się i dzięki temu zobaczyliśmy go, ale i on nas zauważył:

- Kto idziot?? - ocknął się.

- Niczewo - któryś z nas odpowiedział lekceważąco - swai.

- Kuda?!

- W swoju put'.

- No, idzitie.

Kolejną noc musieliśmy więc spędzić pod chmurką. Następnego dnia w końcu dotarliśmy do leśniczówki. Okazało się że tam nikogo nie ma - pusto. Ani śladu ludzkiego życia. Robimy naradę: co robić. „Akacja” - taki bardziej płochliwy (bo „Maks” taki bardziej rozważny, spokojny, najpierw zastanowi się) idzie do „Maksa” i oj co to będzie.

- Poczekaj Janeczku - odpowiedział „Maks” - spokojnie. Zastanowił się i mówi:

- Idziemy nad kanał. - Doszliśmy nad kanał. Widzimy, że służą są pochowane. Przechodzimy więc kanał po koloana (może do pasa) w wodzie. Niedaleko stąd jest Osowiec, a „Maks” przed wojną odbywał tu służbę w jednostce artylerii więc teren trochę znał.

Za rzeka okazało się że przed nami jeszcze jedna, znacznie poważniejsza, przeszkoda: trzymetrowy pas, pół metra od ziemi, rozciągnięte frontowe linie telefoniczne. No i oczywiście pilnowane przez Sowietów. Przeczolągaliśmy więc pod tymi liniami i czym prędzej w drogę. Wpakowaliśmy się na jakiegoś chłopaka. Zaczął wypytywać nas: a kto, a skąd. Dowiedział się że polska partyzantka i zaprowadził nas na jakieś kolonie. Okazało się, że ten chłopak należał do „siatki”. No to zaraz ugotowali dla nas zupę. Jak nas było ośmiu, to wpierniczyliśmy dwa wiadra kartoflanki - tacy byliśmy głodni. Pamiętam jak Florek jadł i jadł. W końcu już nie mógł. Położył łyżkę, odszedł, pokręcił się i z poowrotem siadał do stołu. Spać poszliśmy do stodoły. Koniczyna była świeżo zwieziona, to czuliśmy się, jakbyśmy leżeli w piernatach. Następnego dnia przebrali nas tu po cywilnemu. Ja dostałem jakiś taki zakieci granatowy, czapkę, „Aldona” jakąś spódnicę dostała.... No, wszyscyśmy się poprzebierali. No, teraz trzeba się roz-

bić. A więc „Herman” poszedł z „Jarkiem”, „Kostek” z „Florkiem”, a my w czwórkę poszliśmy jako rodzina. Każda para dostała adres brata „Maksa” - Białystok, ul. Młynowa i tam mieliśmy się spotkać. Brat „Maksa” mieszkał w Białymstoku jeszcze przed wojną, był inżynierem kolejnictwa.

Szliśmy na Białystok (bo „Maks” miał tu brata -) trzymając się torów kolejowych. Tak minął trzeci dzień od chwili gdy przepłyneliśmy Niemen. Z tej naszej ósemki tylko jeden „Jarek” wyłamał się, to cwaniak taki...

Jak przyszliśmy w pow. Bielsk Podlaski, to nas umieścili u narodowców, taka ta siatka akowska była słaba, to dzisiaj ich się namnożyło.

W sierpniu 1944 r. znalazłem się w Białymstoku. W naszej grupie byli: „Maksa”, „Aldona”, „Akacja” i ja. Na Młynowej mieszkał brat Antoniego Rymczy „Maksa” - Edward. Przyszliśmy na ten adres, ale jego nie było. Dzięki niemu rozesłani zostaliśmy po różnych melinach. [Wyjaśnić to dokładniej? - kto ich skierował] Ja trafiłem do państwa Marii i Aleksandra Silkiewiczów. Jeden z ich synów miał na imię Tadeusz i służył w „ludowym wojsku”. Jaki ci podchorążacy (z AK?) zgłosili się, to on również. Był w sztabie przy Popławskim. Dla nas nie było to jeszcze zagrożeniem. Wtedy, na samym początku, to nie miało jeszcze znaczenia, nie było takich antagonizmów pomiędzy nami a tymi z „ludowego wojska”. Później pracował w jakichś zakładach włókienniczych, których znacznie później był kierownikiem [„Fasty”?], zaś jego żona pracowała wówczas w służbie zdrowia.

Mieszkałem więc u państwa Silkiewiczów (tych starszych). Od razu zorientowaliśmy się, że ci ludzie byli związani z siatką

AK. Żebym nie siedział beczynnie jacyś znajomi, którzy mieszkali po sąsiedzku - przyjechali ze wsi - mieli konia i mnie tego konia dali, żebym go prowadził na pastwisko

Grupa „Łupaszki” liczyła w końcu ok. 30 ludzi (16 od „Łupaszki” i 11 miejscowych), którzy tu dołączyli. Tyle siatka nie wyżywi. Zaczęło brakować żywności, więc postanowili zrobić „bambioszkę” na konto ruskich. Poszli zrobić „bambioszkę” do Białorusinów - wiadomo. Okazało się, że tam są ruskie. No, ale skąd tam mogli być ruskie. Zaczęli myszkować, a tutaj traczka idzie: kozły, kloce piłują na deski, na szalowanie do ziemianki, którą „Łupaszka” postanowił zbudować na górcie. No a wieczorem piosenki śpiewają.

Wśród tych 11 miejscowych byli m.in.: dwóch braci, z których jeden miał ps. „Lis”, był kapralem nadterminowym, jego brat to Józio, jaki pseudonim miał, to nie wiem. Byli też: „Tyka”, „Lasota”, „Hubert” i Zbyszek Obuchowski „Obuch”, który dołączył ze szwagrem. Zbyszek powiedział chłopom, że jest choraży i chłopci jemu się podporządkowali, ale potem przyznał się „Łupaszce”, że nie jest wojskowym. „Obuch” zginął na granicy, gdy wleźli na zasadzkę, na czujkę i „Obuch” dostał. „Elile” wtedy odprowadzali (była wtedy u nas [w Białymstoku?]). „Elila” podobno przeszła, ale później też przepadła. Wpadła koło Jałówki. Została aresztowana przez pograniczników (NKWD) i ślad po niej zaginął.

Nasza baza była na takim półwyspie. Dookoła był podmokły teren porośnięty kępami krzaków, trzcinami itp. Gdyby spadł deszcz, to byłyby nie do przejścia, bo droga wiodła tylko przez wąski przesmyk. W bazie były dwa bunkry: jeden jeszcze

sowiecki i drugi już przez nas wykopany na wzniesieniu. Jako że to był już wrzesień - chłodno - więc do ziemianki wstawiliśmy piecyk. Stał na środku. Jakiś taki kaflowy, bo to z tartaku (k. nadleśnictwa) przytachaliśmy. W ziemiance po jednej i drugiej stronie wejścia były legowiska. Nawet było osobne pomieszczenie, gdzie sztab miał kwaterę. W bazie była też kuchnia oddalona jakieś 20-30 m. od naszej ziemianki. Jedynie tylnego wyjścia nie zdążyliśmy wykończyć. No i wieczorem piosenki sobie śpiewają. W nocy był tylko jeden posterunek alarmowy wystawiony od strony, gdzie było przejście. A dookoła las. Spaliśmy zawsze w pełnym pogotowiu bojowym: w mundurach i butach na nogach i z karabinem pod ręką, tyle co pas można było popuścić.

No i któregoś ranka, gdzieś o godzinie trzeciej czy czwartej kucharz („Tyka”) zeszedł z naszej górki i idzie tam gdzie kuchnia była. Zagląda do kotła, żeby przyszykować nam jedzenie i widzi, że tu, kurwa, ruski na czujce stoi. Kompletne zaskoczenie. Nasz wartownik, jak widać, nic nie zauważył. Padł strzał. Od razu alarm. Wypadamy z bronią z ziemianki, a kacapy grzeją już po nas ze wszystkich stron. Widać po nocy nie chcieli się pchać i cały teren najspokojniej obstawili wieczorem. Na naszej górze jeszcze mgła trzymała się. „Łupaszka” wykorzystał to i wyprowadził nas. Najpierw poprowadził na wykroty. Leżały tam powywracane drzewa. Tamtędy przeszliśmy. Mieliśmy szczęście, bo przeszliśmy bokiem obok stanowisk „maximów”, które już ustawione czekały na nas w zasadzce. Gdyby udało się im skierować nas na te „maximy”, to nikt żywy by nie wyszedł z tego kotła. Oderwaliśmy się od nich i przedostaliśmy się do Puszczy Prużańskiej (nadał był to pow. wołkowyski). Jak pamiętam to Józek [czy „Józek”?] zo-

stał ranny i na drzewie podobno przetrzymał obławę, ale to tylko takie plotki, nic pewnego. Ta jedenastka, co do nas dołączyła w Puszczy Świsłockiej odłączyła się i zostało nas kilkunastu.

Kiedy przeszliśmy z Puszczy Świsłockiej na Prużańską (na południe od Świsłoczy), skąd pochodziła ta jedenastka, która dołączyła do nas. To byli osadnicy. Ale tam wszystko było wy-
szabrowane, wyrabowane. Byliśmy tam chyba dwa dni. Zdobyliśmy parę siekier, parę łopat z myślą żeby wykopać jakąś jamę i przykryć się, bo przecież zima idzie.

Roboty postępowały stopniowo na przód. Znowu w las niósł się stukot siekier i cięcie pił. Stałem wtedy przez kilka dni na posterunku i jakoś tak wyczułem, wiedziałem na pewno, że ktoś zbliża się pod bazę. Zaniepokoił mnie szczególnie chłop, który pojawił się i znikł. Poszedłem więc i zameldowałem. Poszli sprawdzić - nikogo nie zauważyli. Powiedzieli:

- Tobie się we łbie wydaje.

Gdy wgryźli się gdzieś na 30 cm. w ziemię, wtedy zdarzył się wypadek z „Oranem”. Minęło zaledwie kilka dni od ucieczki z poprzedniej bazy. Był już październik. „Oran” chorował na dezynтеріę. Chłopaki chorowali często na to. Jagodami czarnymi karmili ich, ale to niewiele pomagało. I „Oran” zmordowany, wymęczony tą chorobą, poszedł do stogu spać, bo na dole, poniżej naszej bazy, łąki były. Nazgarniał siana i położył się tam spać. I jak raz ruskie tamtędy przechodzili. Podpalili ten stóg. Walki słyhać nie było. Stóg spłonął, ale „Orana” tam nie było, a wiadomo, że tam spał. Co się z nim stało - nie wiadomo, bo nikt przecież nie poszedł tam sprawdzać, bo trzeba było wyrywać stamtąd. Dziś podają, że bronił się, ale

został złapany i rozstrzelany, ale przecież nikt tam nie był, nikt nie sprawdzał.

Stamtąd poszliśmy pod Porozowo i tam umieścili nas na melinach. Z tym „Leszkiem” z Porozowa spotkałem się tylko raz. Mnie wtedy z „Czortkiem” wysłał „Łupaszka” aż pod sam Wołkowyśk, na melinę we wsi Miłowce u p. Kozłowskiego. „Herman” też tam wtedy był gdzieś na kolonii za Miłowcami. „Edek” też tam był. Tak, że nas czterech było na najdalej wysuniętych melinach. No i stamtąd wracałem. Szedłem z meldunkiem do „Łupaszki”, ale nikogo nie zastałem w umówionej chałupie na kolonii (nazwy nie pamiętam, ale na mapie przypomniabym sobie). Wtedy „Leszek” powiedział mi, że wszyscy z „Łupaszka” są już w Polsce. Okazało się, że tak ich tu przycisnęli, że nie oglądając się na nas wzięli dupy w troki i wynieśli się do Polski. Do „Łupaszki” miał doprowadzić nas „Tex” (Czesław Skoczył) z mostowlańskiej siatki, miejscowy, znał teren. Mieszkał na kolonii. Jego rodzina zginęła, dom był opustoszały. No i nocą z 5 na 6 listopada przekroczyliśmy „linię Curzona”, którą w tym miejscu wytyczała Świsłocz. Granica oznaczona była tyczkami.

Na pierwszym postoju w Polsce zima zaskoczyła nas - spadł śnieg. Jak raz noc była księżycowa, a polana goła jak szklanka. Idziemy w piątkę gęsiego, uzbrojeni w karabiny. Z daleka, jeszcze w nocy, minęliśmy stojący na łące samolot. Miał widocznie przymusowe lądowanie. Dookoła kręcili się ruśkie, a ja byłem taki ciemny, że pomyślałem: rozebrali wiatrak, czy co do cholery? Przychodzimy na kwaterę do Księżopolskich, na koloniach mostowlańskich. Na melinie byli już „Lufa” i „Szpagat”. Niedaleko, gdzieś na melinie był

„Nowina”. A jeszcze tej samej nocy na sąsiednich koloniach były aresztowania - NKWD ludzi brało. Wpakowaliśmy się w sam środek obławy nie wiedząc o tym. Wtedy przerzucili nas na kolonię do tego słynnego „Pajaka”. Nasz „Florek” był razem z nim na melinie. I Orszak bywał na tej melinie. „Pajak” mieszkał na tej kolonii. Był „siatkowcem”, tam był zameldowany. Ukrywał się razem z nami [„Mikrus” nie wyjaśnia, czy „Pajak” ukrywał się, czy legalnie mieszkał, bo mówi, że „Pajak” i mieszkał tam i jednocześnie ukrywał się]. Podlegał pod „Łupaszkę”. Był w białostockiej AK. Nazywał się Ryszard Zarzycki. A jak „Pajak” znalazł się u nas? Orszak ukrywając się w Białymstoku pracował w Elektrowni i wtedy właśnie poznał „Pajaka”, który w ten sposób nawiązał kontakt z łupaszkowcami. A przecież „Pajak” był w komendzie powiatowej MO w Białymstoku. Udawał dezertera z MO. Został zlikwidowany w Białymstoku przez patrol w składzie: „Lufa”, „Żelazny” i Wacek Niemczynowicz „Słoń”. Mieszkał gdzieś na Fabrycznej. Został zlikwidowany w styczniu 1945 r. w sieni (klatce) swego domu, gdy rano szedł do pracy. Była taka gadka wśród nas - no bo skąd możemy wiedzieć - że on wrócił z Łodzi, był na półtoramiesięcznym kursie w szkole MBP. Dostał stopień porucznika. W listopadzie były te wsypy, a w styczniu - jak wrócił z tej szkoły - go zlikwidowali. Jak nasi robili wyskoki do Mostowlan wlać komuś, buty zabrać, wlać w dupę, bo tam byli skazani [przez nasz sąd] szpicle, no i „Pajak” też w tych sprawach tam jeździł [to chyba jest tak, że „Pajak” podawał się za dezertera z MO, niby ukrywał się w Mostowlanach, jeździł wykonywać wyroki razem z grupą likwną, a potem znikł].

Wracając do początku. Po tym jak umieścili nas na melinie u „Lufy” i „Szpagata”, następnego dnia wieczorem wyprowadzili

nas z tych kolonii i umieścili na koloniach Zielona k. wsi Żubry. No i mnie do dowódcy placówki wspaniali, żebym jego dzieciaka bawił, kurwa jego mać. Żeby to jasna cholera. Spałem na ziemi, na worku nabitym słomą i tego bachura miałem niańczyć. Razem ze mną „Czortek” był, gdzie „Hermana” umieścili - nie wiem. I zaczęły się aresztowania - „Pająk” ludzi czyści. Wtedy w Kiturykach aresztowani zostali: „Kostek”, Bezimienny „Kartacz” i Jurek Bezimienny ps. „Wesoły”. Trzech naszych ludzi pojechało więc do Rosji. „Kartacz” był w stopniu starszego wachmistrza, były rusznikarz 13 pułku w Nowej Wilejce. Mieszkał w Wilnie na ul. Pięknej, był moim sąsiadem. Trzech ich (Bezimiennych) tu mieszkało. Razem z nim mieszkał jego bratanek - tenże „Wesoły”, który razem z nim został aresztowany. Do partyzantki to oni przyszli po mnie.

No „Rusak” zrezygnował [z dalszego marszu po rozwiązaniu Brygady?], obaj „Kartacze” z grupą „Łupaszki” szli. Zaliczyli Puszczę Świsłocką, Prużańską, przyszli pod Kituryki (Kieturyki) i „Pająk” zwnął ich tak, że pojechali do Kaługi. Po Kałudze rzekomo w Ostródzie mieszkali, ale kontaktów już nie utrzymywali. Z naszej grupy był też aresztowany „Kostek” Kapel [?] Ryszard. To tych trzech {razem z „Kartaczami”} zwnął „Pająk”. „Miecio” też był aresztowany, ale wykradli go. Wacek „Słoń” doholował go do oddziału.

Z szesnastu zostało się nas już trzynastu. Z kolei z Dojlid [z 4 pp.] przyszli „Nowina”, „Żelazny”, „Lufa” i „Szpagat”. Kontakt z „Łupaszka” nawiązali przez „Elilę”. Zresztą, przecież w Białymstoku osobistym kierowcą komendanta wojewódzkie-

go Paszty był „Kitek”, który wiedział, że oni są w wojsku. Wszyscy wiedzieli.

Dołączyli do nas też nowi: „Tarzan” i „Kula”. „Łupaszka” wie-
dzi, że ludzi trzeba do puszczy zabierać. No i przychodzi
cynk - zbiórka na kolonii. Okazuje się, że mamy zaraz iść do
Puszczy Białowieskiej. Niebawem jednak termin wymarszu został
przełożony o 2 dni. No i spotykamy się za dwa dni. Jest
„Nowina” - jako dowódca. Jak zobaczył mnie, mówi:

- A jemu jeszcze niańkę trzeba wziąć. - A chłopaki mówią:

- Paaanie poruczniku, niech pan jego nie zaczepia. On nas
jeszcze będzie niańczył. - „Nowina” to taki typ inteligenta,
który nie spoufalalał się, trzymał dystans w swoim zachowaniu,
swoją powagą narzucał szacunek dla siebie. No i na takiego
gówniarza jak ja, co to od ziemi nie odrósł, a już papierosy
kopcił, to patrzył krzywo.

No i mamy wyruszać do puszczy. Nocowaliśmy w opuszczonej cha-
łupie. A „Nowina” kontaktuje się z „Łupaszka”, który był chy-
ba gdzieś w Kiturykach. Dokładnie gdzie - nie wiem. No i w
każdym razie, po naradzie, „Łupaszka” prawdopodobnie kazał
„Nowinie” wziąć mnie do siebie jako gońca. Oczywiście,
„Nowina”, gdy przekazał mi ten rozkaz wygłosił dla mnie kaza-
nie: trasę zapamiętać, bo przecież sam będę wracał itd.

- Tak jest - odpowiedziałem służbiście. Przyprużyłem oko i
pomyślałem: gadaj se stary co twoje, a ja będę swoje. Oczywi-
ście, tak czy inaczej, musiałem tą drogę zapamiętać, a nie
była to łatwa sprawa, bo przecież to wszystko po melinach po-
rozrzucone. Po tych wczasach, w piernatach, to wydobrzeli
wszyscy, wydelikatnieli. Tu jesień, listopadowa noc długa, to
jak wyszli, to końca drogi nie widać i końca nocy nie widać.
Zaczęli zasypiać na stojąco. Widzę, że jeden z drugim zaczyna

już „pływać” po drodze, schodzi ze ścieżki i do rowu... rymy i budzi się. A ja muszę czuwać: zakręt w prawo, w lewo. Przy każdym zakręcie oglądam się za siebie, żeby zapamiętać go, utrwalić w pamięci jego obraz. Za dwa tygodnie szedłem tą drogą już bezbłędnie. W sumie w puszczy było nas może -chyba: „Herman”, „Florek”, Koliber”, „Uran”, „Żwirko”, „Kula”, „Tarzan”, „Czortek”, „Nowina”, „Słoń”, Pan Stanisław Policznyński i ja. To był taki pierwszy rzut. A w terenie (koło Mostowlan) zostali się: „Żelazny”, „Lufa”, „Szpagat”.

Jak ze „Słoniem” razem zachodziliśmy do Hajnówki, to zachodziliśmy do sióstr Laskowskich. Zaraz Wacek leży na poddaszu nago, pod pierzyną, bo jego szmaty już mu piorą, żeby go odwszyć (bo wszy zawsze się go trzymały). Jadzia zaraz, na oczekaniu, kołacza takiego zrobi (taki niewyrośnięty placek). Ukroi połowę i daje mi, bo zawsze uważała się nade mną, a ja jak to tak: te pół to na wszystkich trzeba podzielić. Zresztą, nie smakował mi, bo tak soda śmierdział, że jeść tego nie mogłem, a oni żarli, cholera.... .

Któregoś razu w obozie była hryja, bo „Florek” z „Czortkiem” do prowiantu się dobrali, kartofle ukradli. „Nowina” zrobił grandę, jak cholera. No co było robić - ciężko było. Chłopaki cały czas krzywili się, że jeść chcą, a u mnie „Nowina” nigdy ani słowa na ten temat nie usłyszał, więc może dlatego „Nowina” tak mnie wywindował, bo dostałem awans, o czym niżej.

Jak się spisywałem na stanowisku gońca, chyba najlepiej świadczy taki fakt. „Nowina” wysyła mnie do „Łupaszki”. Melduję się w Kiturykach 1 grudnia 1944 r. „Stary” siedział na fotelu czy na krześle przy oknie w izbie. Ciemno, a on przez okno obserwował drogę. Wszedłem do środka, stukam kopytami:

- Melduję, panie komendancie swoje przybycie.

- Ach, to ty - jakby się obudził - Co jest?

- Meldunek przyniosłem. - Ściągam buty (meldunek miałem za cholewą), wyjąłem meldunek. „Stary” przeczytał go i - co tam było napisane nie wiem, ale awansował mnie do stopnia starszego strzelca. Czyli wniosek z tego, że „Nowina” musiał wystąpić o ten awans dla mnie, dzieciaka w końcu. Pewnie ten wniosek o awans musiał być jednym z punktów tego meldunku.

Po dwóch tygodniach „Nowina” prawdopodobnie składał relację „Łupaszce” o tym, jak zaaklimatyzowaliśmy się w puszczy, jak został nawiązany kontakt, jakie przewidywania, no i morale i zachowanie wojska. A mnie tylko psoty były w głowie. Ognisko się pali. No to się poukładali dookoła, a każdy pakuje się jak najbliżej, żeby jak najwięcej ciała mieć ogrzanego. Śpią. Jednemu (spął z rękami splecionymi na brzuchu) ręka opadła w stronę ogniska, ale dalej chrapie. No to wziąłem kawałek spalonego drzewa (taki węgielek) i rzuciłem mu na tę leżącą najbliżej ogniska rękę. Och, jak się zerwał. No wiecznie coś musiałem zmajstrować.

Bunkier będą kopać no, ale najlepiej żeby ktoś za nich go wykopał - tak się rozpanieli. Kopia, kopia - będzie woda - ktoś zauważył. No to już nie kopia. Na górze będziemy spać. No i zrobili: ale ani pieca, ani słomy. Zebrali jodłowych „łapek”, nasypali, dół faszyną nakryli, potem na to piach nasypali, ale że przymrozki już się zaczęły, to w ziemi porobiły się grudy. Ogniska się palą na ziemi. Dym się snuje może metr nad ziemią. Powieszysz łeb, to zaraz cię dusi. Tylko na czworakach możesz chodzić (no bo jak wyprostowany, to głowa w dymie). Widzę, że „paczka” leży tu, tam. Spali jakby w dwuszeręgu - jeden szereg z jednej strony ogniska, drugi szereg z drugiej

strony. A ja z Pogodzińskim ps. „Wujo” jakoś tak razem trzymaliśmy. On mnie jakoś polubił, ja jego. No i „Wujo” leży - się nakrył. Zasnął. Powoli podniosłem jego kurtkę, a on spocony. No to wziąłem węgiel i kruszę mu nad gębą.

- Yyych - obudził się i dawaj ścierać ręką twarz i opieprza mnie: Nie odkrywaj mnie!

- A kto cie odkrywa? - udaje niewinnego - Sam odkryłeś się. Chyba gorąco tobie było, nie... Bo to - mówię - sypie się z tego dachu. - No, „Wuj” tak wybrudził się, że czarny jak murzyn. Ale dalej śpi. Idę dalej. Najpierw podszedłem do „Tarzana” (ten co potem został przez „Zygmunta” rozstrzelany). Leży na wznak. Kruszę mu węgiel nad twarzą - nic nie rusza się. Spocony - jak grudka spadnie mu na twarz, to się rozpływa. Cały w cętkach - jakby go ktoś piegami obsypał. Obok niego leży Wacek „Słoń”. Poteżny gość i miał poteżny nos jak u prawdziwego słońca. Miał taki tubalny głos. „Słoń” był taki wielki, że jak klęknął, to był taki jak ja stałem. Na czole wymalowałem mu krzyż, ten wielki nos zrobiłem na czarno, broda też na czarno. No i rano podbudka do modlitwy. Twarzami stajemy do siebie (jeden szereg na przeciwko drugiego). „Słoń” cały czarny, włosy stoją na baczność, co zagarnie to wracają z powrotem do poprzedniej pozycji. No i ten co stoi na przeciwko niego widzi, że „Słoń” cały wysmarowany i się śmieje z niego:

- Ha, ha, ha! - „Słoń” z niego śmieje”, że czarny. No i tak wszyscy zaczynają się śmiać odmawiając modlitwę, co wyglądało tak:

- W imię Ojca - ha, ha, ha - i Syna - hi, hi, hi...

- Przerwij modlitwe! - padł rozkaz. I wszyscy w śmiech.

- Kto!? Kto to zrobił!? - pada groźne pytanie. No kto, no wiadomo kto - „Mikrus”. No, obiecują już, że mnie spiorą. Ja tu się przysięgam, świadków przedstawiam, że niewinny jestem jak nowonarodzone dziecko... Jakoś się upiekło.

Wysłali mnie z Wackiem „Słoniem” do Hajnówki, żebyśmy kupili prowiant. Potrzebowaliśmy ze 2-3 kilo grochu, fasoli, kaszy jęczmiennej, dwa bochenki chleba, jakaś konserwa. Jak na kilkunastu ludzi, to mniej niż skromnie - formalny głód. Na każdego wychodziło po dwa kartofle, łyżkę swinój tuszonki, kawałek chleba i wsio, a tu zima idzie, już mrozy zaczynają się. Żadnych akcji [zaopatrzeniowych?] nie wolno było robić, trzeba było cicho siedzieć. Oczywiście sami nie robiliśmy zakupów w Hajnówce. Robiły je Leszczyńskie, jacyś inni ludzie.

[niewielki fragm. nie nagrał się]

„Stary” powiedział do mnie:

- Pójdiesz do Świnoroj i przyprowadzisz chłopców. Tam będą na ciebie czekali - Miałem przyprowadzić ich na bazę, do puszczy. W Świnorojach mieli na mnie czekać: „Lufa”, „Żelazny”, „Zbyszek”, „Zeus” i „Szpagat”. Mieli czekać na mnie za leśnictwem, za chlewami, w krzakach. Spotykamy się. Widzę, że „Zeus” ma już tylko „empi”, znaczy się MG już gdzieś patierali po drugiej stronie. Pokpiwają sobie ze mnie - bo to wielcy partyzanci przecież - a ja z nich. Doprowadziłem ich na bazę. Jurek śp. [czy to „Szpagat”] buch i zachorował - pięta zaczęła go boleć. Zawieźliśmy go do Hajnówki i na melinie kurował się. Być może, że nawet u Laskowskich leżał. Wywczasowywał się. Dołączył do nas w dzień wymarszu z puszczy, bo w przeddzień Wigilii Świąt Bożego Narodzenia zabrali nas wszystkich na nowe kwatery, na terenie gminy Brańsk. Droga zajęła nam dwa dni. W pół drogi zatrzymaliśmy

się w Łubinie Kościelnym. Naszymi przewodnikami byli: Kosidło Józek „Timoszka”, albo po prostu „Ziutek” i „Pędzel” (Fijałkowski). Oni byli w LWP, w ochronie sowieckiej komendy miasta w Bielsku. Wzięli przepustkę w jednostce, przyszli do hajnowki i przeprowadzili nas, bo teren znali. Zostawili nas na miejscu i dopiero w kwietniu zameldowali się w Oleksinie i poszli do oddziału.

Na miejsce dotarliśmy dopiero w pierwszy dzień świąt. Zaprowadzili nas na kolonie Zarośla k. Koszewa. Znow nic nie było przygotowane, bo nikt nie spodziewał się nas. „Nowina” wkurwił się. Powiedział:

- Zaraz wpierdole się w pierwszą lepszą chałupę z całą grupą i koniec. W dupie mam to wszystko, jak tak siatka pracuje. No to nas potem porozmieszczali to po eneszetach, jakichś batalionach śmierci czy co. Śmiech mnie ogarniał: chłopci i co oni mieli wspólnego ze śmiercią. No to na początek wpakowali nas do gospodarzy po trzech-czterech w tych Zaroślach i w sąsiedniej Sierakowiznie obok Łubina Kościelnego, a potem sukcesywnie nas przerzucali na właściwe kwatery. Ja byłem w Zaroślach na kwaterze z „Żelaznym” i ze „Zbyszkiem”, a „Lufa”, „Herman” i „Nowina” zostali na kwaterze u Zalewskich. Byli najcwańsi, żeby już dalej nie wędrować. Do Sierakowizny wepchali: „Zeusa”, „Czortka”, „Szpagata”, „Edka” [co za „Edek”?], „Tarzana” i Policińskiego. A u Sarnackich byli: „Florek”, „Żwirko”, „Koliber”, no i u tych Sarnackich szykowali wódkę - bimber. A „Herman” napił się już wódki u siebie - u Pawła Zalewskiego. „Nowiny” już nie było - bo był w Kiersnowie, a „Lufa” w Pacach.

W Zaroślach zaraz przyszedł Nowy Rok. No i kurde bela przyszedłem do Zalewskich. A ciągle to tego Józka [jakiego Józka?

Żwirko i Koliber - obaj na imię mieli Józef] przychodziłem - psoty robiliśmy, „Florkowi” dokuczaliśmy. A to dlatego, że „Florek” podpadł mi, bo któregoś razu gdzieś byłem wysłany i swoją broń zaniósłem do „Florka”, na przechowanie. I ten skórwysyn, zamiast wsadzić to w jakieś suche miejsce, wziął i wsadził do stajni, pod żłób dla konia. Żłób nie był podwieszony, tylko na gnoju stał no i ta słoma i wszystko na karabinie było.

Zaszedłem do nich, a „Herman” już napity i z gospodynią się pokłócił. Ona tak sepleniła i mówi do mnie:

- O, zobac, widzis. Odpas się, oprąłam go, a teraz taki ważny? - A ja podsuczam „Hermana” na babkę i odwrotnie. No, ale idziem na bimber do Sarnackich. Ale tam zorientowali się, że ja „Hermana” stale podpuszczam, tego durnia. Jaaak mnie „Zbyszek” kopnie w dupę. Jak kangur podskoczyłem. „Herman” jak zobaczył, że „Zbyszek” mnie kopnął, jak złapie Józka, jak go ćwiknie o ścianę (a ściana wyłożona narąbanym drzewem) - cała ściana drzewa się wywaliła. No to ja za te polana i dawaj okładać nimi „Zbyszka”. No, wojna nie z tej ziemi. Z bimbru nic nie wyszło, bo nie wpuścili mnie tam. „Herman” wyrwał mi karabin i dawaj walić z niego na wiwat. Tego było już za dużo. Przebrał miarękę. Maniek Zaleski wsiadł na konia i do Kiersnowa, do „Łupaszki” na skargę.

No nic. Przyszedłem do chałupy. Tu na mnie jeżem patrzą i „Zbyszek”, że ja na niego polanami walił. Rano obudziłem się - chłopaki dalej do mnie z rezerwa. No to idę do dziadków na śniadanie.

- Chodź wnuczek, będziemy sieczkę rznąć - powiedział do mnie
- To co, będziesz konie ganiał?

- Dobra - odpowiedziałem. Dziadek konie zaprzęgnął do kiera-
ta, mieszankę siana i słomy naszykował, no i ja chodzę za
stodołą i pędzam konie przy kieracie. Raptem przybiega do
mnie „Herman”.

- Zatrzymaj - mówi. Jakiś taki wystraszony.

- Co jest?

- Słuchaj, „Stary” przyjechał.

- No to co?

- Mordeę obił „Florkowi” [Za co?] i ciebie kazał przyprowa-
dzić.

- Psia mać, przecież ja nic nie nabroił - mówię, no bo co ja
nabroił? „Herman” wie, że nabroił i mówi:

- Co ty się boisz? No co, najwyżej nas wygonio. No co my,
kurwa, nie trafim do Wilna. Zaprowadzę ciebie, nie bój się.
No, wypaliliśmy papierosa i idziemy. Ale „Herman” był wystra-
szony. Zachodzimy do Kiersnowskich. Była tam olbrzymia stodo-
ła, na dwa klepiska. Była otwarta. „Stary” stoi w głębi. Na-
dęty tak, że nie wiadomo co. „Herman” melduje się, że mnie
przyprowadził, a ja stoję koło niego. Stary spojrział na mnie
takim stalowym spojrzeniem, pokazał palcem za stodołę i rzekł
groźnie:

- Tam, poczekaj.

Tylko wyszedłem za stodołę - a „Florek” stoi przy wejściu ta-
ki nadęty, wyprężony na baczność, i całą gębę ma czerwoną.
Widać że dostał w ryj. Już śmiech bierze mnie, bo będzie z
czego się pośmiać.

- Huju, dostałeś, nie - mówię - i biegiem dookoła stodoły,
żeby przez wrota popatrzeć co to będzie się działo z
„Hermanem”. I słysze już ostry głos starego, mówiącego do
„Hermana”:

- Bliżej chodź - chwila ciszy - Jeszcze bliżej. A „Herman” kroki niemowlaka niemal stawia. No, jeszcze coś mu tam „Stary” powiedział i nagle trzask: raz, drugi i załatwione. „Herman” dostał po gębie. No co miał robić. Posadzić do aresztu nie może, bo aresztu nie ma. Zastrzelić za głupotę, byłoby głupotą. Tylko chama w mordę strzelić, nic innego

- Dawaj tego bandytc - słyszę głos „Starego” do „Hermana”. No to ja biegiem do stodoły. Błyskawicznie jestem przed obliczem „Starego”, cały zestrachany. No i „Stary” robi mi wykład, ale tak, że im więcej gada, tym więcej się podnieca.

- Słuchaj, jak ja się twojemu ojcu pokażę na oczy. Gówniarzu. Jak, co ja mu powiem, że kogo ja wychowałem. Powiedz: kogo ja wychowałem? Jak ja twojemu ojcu się pokażę? - No, ale co ja mu miałem odpowiedzieć? Przecież ja nic nie nabroił. No chodziłem koło tego durnia pijanego - no to co ja jestem winien? A to mnie wszystko przylepili. A ja, jak Boga Kocham, nic nie zrobiłem. Żebym ja przewracał, z babką się kłócił, a to przecież nic.

- Powiesić. Dawać sznurek - mówi do „Floraka” „Stary”. „Florek” już szuka sznurka po kieszeniach. Nie ma. Jak „Stary” na mnie się zamachnął - buch, w sieczce już leżę. I „Staremu” zaraz złość przeszła jak zobaczył mnie sponiewieranego.

- Na kwaterę! - warknął - Przygotować się do wyjazdu. Najpierw jeszcze do Sierakowizny skocz i sprowadź tamtych panów.

- Tak jest! - odmeldowałem się służbiście. Poleciałem do tej Sierakowizny. Chłopaki są na kwaterze. Mówię do nich zadowolony:

- No, przygotujcie się. „Stary” wkurwiony. „Florkowi” aż ucho przyrosło do łba, tak oberwał. Podpuszczam ich, że oko też ma zapuchnięte, z nosa krew leje się tak „Stary” mu przywalił.

- I co jeszcze I co jeszcze? - dopytują się niecierpliwie.

- A resztę to się dowiecie. - A do nich już doszło to wszystko, bo Maniek [co za Maniek?] wygadał. Jak plótl na „Hermana”, to plótl na wszystkich: a to że w Sierakowiźnie robią potańcówki, a że potańcówki, to i popijanie jest itd. No i „Stary” wkurwił się, że tylko co wyrwali się spod „Pajaka”, i znowu zaczynają, żeby biedę ściągnąć.

Pzyszedłem z nimi do „Starego”. Zameldowałem mu, że przypro-wadziłem, odmeldowałem się i wróciłem na kwaterę. Mówię do dziadka, że pakuję się, bo zabiera mnie „Stary”. A babka, jak to usłyszała, to ojej - mało się nie rozplakała. Przyjechał sankami „Stary”, a kobiecina [Kocowa?] „Łupaszkę” za nogi o-bejmuje. Jej mąż (dziadek nazywałem go) i prosi:

- Panie komendancie, tak my tego dzieciaka polubili jak swo-jego. Przecież on tu nic nie nabroił... . - Patrzę na „Starego”, czy zmięknie - ni cholery:

- Nie - mówi twardo. Co było robić. Wziałem torbę, wyszedłem na dwór i położyłem na sankach (po białostocku: „zajdki”), z tyłu. Położyłem się i leżę. „Stary” siedział z przodu - powo-ził. Wyjechaliśmy z tej kolonii. Dojeżdżamy do wsi, do Kosze-wa i widzę, że leżą kuropatwy [gdzie?, przy drodze, na po-lu?]. „Stary” popatrzał też. Zatrzymał konia i odzywa się:

- Turku, widzisz te kury?

- Widzę.

- To co ty tu jeszcze robisz? Biegaj po te kury - widzę, że on mie ładuje w huj, no, ale żeby „Staremu” jakoś podlizać się, żeby go udobruchać, udaję więc że taki głupi jestem i

idę po kury. Zrobiłem z dziesięć kroków, a one frwrr i poosły do góry.

- Ha, ha, ha, ha... On chciał kury łapać - ubawił się „Stary” i śmieje się taki zadowolony, że udało mu się mnie nabrać. - A ja myślę sobie: No, to już dobrze, jak ty się śmiejesz. Wszystko gra, ale „Stary” dalej nie odzywa się do mnie. Ja też nie odzywam się, bo nie wypada. Respekt.

Przyjechaliśmy na podwórze do Kiersnowskich. Wchodzimy do domu. „Stary” mówi do nich (był Marian i Aniela):

- Zakwaterujemy tutaj tego kawalera. Będzie wam tutaj pomagał
- No, wpadłem, pomyślałem. Tam (już wszystko miałem dobrze: w Zaroślach dziadek i babka dbali o mnie, po koloniach (trzy domy) dziewczuchy były, to było wesoło, a tu... nic. I to jeszcze pod ręką samego „Starego”.

No, jakoś z Marianem przypadliśmy sobie do gustu. Nielegalnej organizacji „Nowina” bierze mnie na obchód po melinach, bo znam wszystkie, gdzie nasi są. Musiałem więc z „Nowiną” iść. Wracaliśmy z Oleksina i poszliśmy nie na Burchaty, tylko na przełaj. Normalnie Nurzec przeszliśmy, ale gdzieś na tych łąkach pacowskich lód zerwał się i „Nowina” się wpierniczył w wodę. Pomogłem mu - wylazł z tego i zaraz na melinę do „Lufy”, bo to było tuż obok. Tam zaraz rozebrał. Bronek Daniluk (już nie żyje) zaraz wodę znalazł, akurat szykowali kolację, więc kartofle były, mięso, miska kapusty z beczki no i nalał. I mnie pół szklanki.

- A to komu? - pyta się „Nowina”.

- Też partyzant, nie? - odpowiedział Bronek.

- Cooo takiego, w żadnym wypadku! - rozdarł się. Jednak jakoś go uprosili:

- Jedną może wypić - przecież wiedzą, że już pociagam.

Anielkę Kiersnowską to zabolalo [jaki jest początek akapitu?]. Powiedziała do mnie:

- Ja wiem, ty za to żeś się na mnie zemścił [czy chodziło o jej romans, o którym opowiedział jej mężowi „Mikrus“], bo ty tylko z Marianem [trzymasz?]. - Bo ja, jak tylko przyjechałem do Kiersnowa, to ja na górze jestem, a Marian w kuchni już rano gotuje dla mnie wodę i z kawą leci do mnie na górę.

- Patrzcie jaki lokaj - śmiał się z męża Anielka - przyjechał hrabia i hrabiemu nosi na górę, do łóżka kawę. - Ale Kiersnowscy, starzy i ich dzieci, do dziś uważają mnie niemal za członka rodziny. Jestem dla nich swój.

Wtedy dostałem za nią w dupę od Starego. No, sprawa była nie fair. Słyszałem coś z opowiadań i niepotrzebnie chlapałem ozorem na zewnątrz. A ten zaraz przyszedł i powiedział Staremu („Łupaszce“), no i... [ten fragm. niejasny].

Kiersnowo liczyło wtedy 40 domów, czyli 40 gospodarstw.

W Pacach mieszkali Rosjanie. Taki Ryczkowski przywiózł żonę Rosjanę. No i któregoś razu komendant goroda Brańska, kacap, postanowił odwiedzić swoją ziemiaczke. No i jesteśmy na kwaterze i zobaczył „Stary“, że ten kacap przejechał przez Kiersnowo do Pac. Zawołał mnie i mówi:

- Biegaj do Pac, co ten kacap pojechał tam. - Wpadłem ja do wsi. Skoczyłem do pierwszej po lewej stronie chałupy, tam gdzie „Lufa“ był na kwaterze u Daniluka, a Daniluk mówi:

- A tam, nie ma sprawy. Wyszła babka, jobami od progu go wyświeciła, kacap się oblizał i pojechał. - To porządna kobieta była, babuszka. Została tu, dzieci na pięknych Polaków wycho-

wała. Katolicy. Dziewczeta jak trzeba. Syn Gienek sołtysem we wsi nawet został, chyba po dziś dzień.

Wiadomość już mam, że Ruska wypędzili, teren jest czysty, to muszę lecieć zaraz do Kiersnowa. Ale przecież tutaj „Czarna Zośka” jest - taka fest dziewczucha, nie z tej ziemi. Miejsco- wa, z kolonii Pace. Na imię miała Zośka, a że włosy miała czarne, to i tak ją nazywali. Daniluk to był jej wujek i ona niby do wujka przyszła. „Lufa” do niej cholewki smalił. Ona - zdrowa baba, że koło łamać, młoda dziewczyna, a „Lufa” też potężny chłopak. Maja na kwaterze u Daniluka ruski patefon kupiony gdzieś za wódkę i dwie płyty: „Kalinka, kalinka maja” i jeszcze jakaś, no i ta „Kalinka” na okrągło: „Kalinka, Kalinka maja”. No i tańczą, a na stole kapusta, słonina smażo- na, kartofle, chleb, blaszane, dwulitrowe, puszki pełne bim- bru no i szklany. No i oni mnie za stół, jedną szklaneczkę, drugą szklaneczkę. Zobaczyłem, że chyba za dużo jak na mnie - zerwałem się i w drzwi. Dopędzili i sadzają za stół:

- Siadaj, jesteś w gościach. - W końcu drugi raz wymacałem odpowiedni moment, kurtki już nie nakładałem, tylko trzymając ją w rękach wyszedłem. Tylko wyszedłem za wieś, a tu pies mnie zaatakował. Choć i ciemno, to już wiem co to za pies - nasz - Kiersnowskich - pies, „Bukiet”. Co on tu robi? Aż z Kiersnowa tu zawędrował? Nie wiem o co chodzi. A to „Łupaszko” z „Nowiną” nie wytrzymali, że ja poszed i zapo- mniał adresu powrotnego i idą za mną. Pies poleciał przodem, a oni są jeszcze daleko. Pogoniłem psa i ide dalej.

Do Kiersnowa z Pac idzie się pod górkę. Wyszędłem więc na górkę i widzę na linii widnokręgu, pomimo, że jest ciemno, to jednak widze dwa cienie. Ktoś stoi. Papiersy kopciłem, podpi- ty więc odważny i krzyczę i do nich:

- Noo, job waszu mać! Padajditie! - tylko krzyknąłem, patrzę, a cieni już nie ma. Znikły.

- Ha, ha, ha, ha! - zaśmiałem się na cały głos. Nagle słyszę głośny szept:

- „Mirus”, to ty!? - Oooo bracie, a mnie aż czapka do góry się podskoczyła ze strachu. Nie wiem w którą stronę stanąć. Idą przez pole w moim kierunku. Stary trzyma spluwę w rękę, „Nowina” trzyma spluwę. Wreszcie doszli do drogi i Stary pyta się twardo:

- Co tak długo?! - No to ja zadję relację:

- Sowiet przyjechał do babki, ale ta go opierniczyła i pognała, no i obok u Daniluka zatrzymali mnie troszkę na kolacji.

- A wódkę piłeś!? - zapytał szybko, z zaskoczenia.

- Ani kieliszka - odpowiedziałem szybko i bez zastanowienia.

- Ani kieliszka? - też szybko powtórzyła „Łupaszka”.

- Ani kieliszeczka, ani Broń Boże - ide w zaparte. Stary odwrócił się i pooszed. Bez słowa. Za nim „Nowina”, a na końcu ja. Zaczynam kichać. W końcu zaczęło mną też rzucać, bo to rozebrało mnie na tym powietrzu. Pod gościńcem wpakowałem się w druty, kurza noga. Mało się nie przewróciłem, aż „Nowinę” to za nogi objąłem. Ale nic, nadal bez słowa idziemy. Stary ani nic nie odezwał się. Wszedł do chałupy [Kiersnowskich], w sień, przez kuchnię i poszedł do swego pokoju. Ja, przez sień i w kuchni zatrzymałem się. Słyszę, jak stary do „Lalki” mówi:

- No, popatrz, skurczybyka, turka kawałek. Nas, starych partyzantów, wystraszył. - I opowiada jej co się stało - No na tego Belzebuba nie ma siły - dodał. Pytam się czy pił wódkę. Powiedział, że ani kieliszka. No co ja mam z nim zrobić?

Stary to był wspaniały człowiek. Jak miał humor, serce, to na rękach do nieba by zatargał, jak się zezłościł, to by cię wdeptał w ziemię. I za moment by płakał, co zrobił.

A jak było z paleniem papierosów przeze mnie. Przecież przy Komendancie nie wolno było palić. A palić się chce, to gdzie się podziejesz? Zima, no to w chałupie, w kuchni, schowam się, ale Stary i tak widzi. No to idę do wychodka, za stodłę. Skręcam „melona”, siadam se na tron i palę, a przez szpary w deskach dym wydostaje się jak z wędzarni, aż kotłuje się. A tu stary idzie do wychodka, za drzwi - zamknięte. Cofa się i widzi, że tu taka wędzarnia, no to zaczął się i czeka zobaczyć, kto to. A ja już, oczywiście, zauważyłem przez szpary, że to on. Raz, dwa papierosa wygasilem no i idę. Droga tylko jedna, pomiędzy stodołami, innej nie ma. Wychodzę na podwórko i Stary widzi, że to ja papierosy palę. Gdzieś po dwóch godzinach, gdy siedzę w kuchni wchodzi „Lalka” i mówi:

- Reniusz, słuchaj. Pan „Zygmunt” mówi, że jak już palisz, to pal, ale tu w kuchni, w mieszkaniu. Pamiętaj tylko, że nie życzy sobie, żebyś robił to w jego obecności. A tam nie pal, w ustępie, bo jeszcze gdzie zabudowania zapalisz. - No to ja nadużywałem tego pozwolenia - siedzę w kuchni, papierosa palę, a tu Stary wchodzi do kuchni wody się napić, no to ja w tył zwrot i wychodzę.

Jak to mówią, z jednej strony kiepsko było, bo tam gdzie generał, to śmierdzi, ale z drugiej strony - pożytecznie. Machorke wtedy palili, a Stary amerykański tytoń miał. Chyba Ruski, trofiejny, pewnie od ruskich oficerów, bo kacapy to sieczkę palili, a oficery już lepsze mieli. Paczki, takie 250 gramowe. No to niosę drzewo do jego pokoju, żeby gospodyni napaliła w piecu (kaflowy, na całą ścianę) i patrzę, że Starego

tytoń leży. No to raz, tak serdecznie się poczęstuję tyto-
niem. Szczypta taka, że na kilka papierosów wystarczy, w kie-
szeń i już mam eleganckie, aromatne palenie. I tak się Stary
nie kapnął.

No i byliśmy w Kiersnowie, i jednak nawet tam byliśmy wydani.
Tylko opieka Boska czuwała nad nami. My ze wsi wyszliśmy do
Pac, a Rosjanie weszli od strony Kalnicy (wieś leży 2 km. od
Kiersnowa). To było 5 kwietnia. Już wychodziliśmy w teren, i
jak raz w ten dzień przyszła obława. Gdzieś tam na taśmie mam
jak Uścian opowiada, że jest podejrzenie, że Józef Wojeński,
kuzyn Anielki Kiersnowskiej, krył się tam i miał jakieś po-
wiązania z Żydami, z kacapami.

W Hajnówce była córka „Łupaszki” z teściową. Mieszkali u La-
skowskich. To nie prawda, że „Bury” spotkał się z „Łupaszka”
u Laskowskich przy stole wielkanocnym. Przede wszystkim dla-
tego, że święta Wielkanocne były w Kiersnowie, a Baški ze
Swolkieniowa nie było jeszcze w Hajnówce w tym czasie. One
gdzieś w maju przyjechały. Swolkieniowa w Wilnie mieszkała na
kolonii magistrackiej, u Czapskich. No i ja byłem przygotowy-
wany do wyjazdu do Wilna po Baškę i Swolkieniowa, tzn.
„Łupaszka” przeprowadził ze mną tylko taką rozmowę. O-
rientował się, czy ja jestem na tyle bystry, by się to udało.
No, ale jak się okazało, że ja i Czapskich znam, bo mieszka-
łem na Pośpieszce, to i Bezimiennego - „Kartacza” znałem, no
wszystkich wodzów, „Lufa” przecież też był moim sąsiadem -
mieszkał pod 83 numerem a ja pod 157. „Kukułka” Rybicki Ja-
nusz mieszkał pod 124 albo 127. No, gdzie by się ja nie ru-
szył, to znam wszystkich. Tak że Stary - też przeicież wszyst-

kiego nie wiedział - podpytywał się i zorientował się, że ja wszystkich na Pośpieszce znam, ale w międzyczasie przyszła wiadomość, że Swolkieniowa z Basią jedzie jako repatriantka i niebawem w Białymstoku znalazła się. Tam przejął ją „Orszka” i pchnął ją do Hajnówki.

Już jak wyszliśmy w teren, to „Łupaszko” w kwietniu był w Hajnówce i spotkał się z „Bury” i jego oddziałem. Stał przed frontem oddziału. Jako obstawa pojechali z nim: „Żelazny”, „Lufa” i „Szpagat”. „Łupaszko” był w mundurze z naszywkami kaprała i w płaszczu. To mogło być 14 albo 15 kwietnia, to 12 kwietnia byliśmy w Augustynce, jeżeli to prawda, że 5 kwietnia wyszliśmy w teren. Bo ten okres, gdy szliśmy do Hajnówki, po wyjściu w teren, to odtworzyłem na podstawie naszych kwater, dzień po dniu. W Augustynce poszły patrole pod Mielnik, do Tokar, Kleszczan, Niemirowa, gdzie konfidentów postrzelali. Zanim wróciliśmy do Augustynki, to dołączył na szosie Mielnik - Milejczyce „Radio”. Tam gdzieś, na kolonii Klukowicze była jego rodzina. Jak ja wnioskuję z różnych moich wiadomości, to on był synem panińskim. Rodzina się go wypiera, tak, że to wszystko pokręcone. Tak, że on nie był z Wileńszczyzny. On stąd jest, u „Grzmota” chodził. Gdzieś pod Brześciem chodził jakiś oddział „Grzmota” i on tam był.

Ochrona Leśna „Burego” miała na kołnierzykach czarno-zielone trójkąty - takie jakby proporczyki. Na górze zielony, na dole czarny. W lutym 1945 r. „Stary” otrzymał wiadomość od „Tadeusza” (przez przebywającego w Hajnówce „Słonia”), że dowódca plutonu ochrony leśnej porucznik Góral, to oficer AK z Wileńszczyzny (nie wiem czy od razu było wiadomo, że to chodzi o „Burego”), który szuka kontaktu, było też wiadomo, że w

ochronie leśnej są chłopcy z wileńskich brygad. „Łupaszka” wysłał mnie więc z odpowiedzią (pisemną) do „Słonia”, który miał ułatwić mi nawiązanie kontaktu z „Bury”. Jakiś mieszkaniec Hajnówki woził drzewo z tartaku w Hajnówce do Kiersnowa i umówili mnie, że w powrotnej drodze zabierze mnie on do Hajnówki. Po przybyciu do miasteczka od razu udałem się do Laskowskich i tam zostawiłem pismo „Łupaszki” do „Słonia”. Okazało się, że Wacek już miał umówione spotkanie z „Bury” w tartaku. Pamiętam, do pierwszego spotkania doszło w holu dyrekcji tartaku. Ludzi na korytarzu kupa i wśród nich: „Bury” i „Kolka”. W tym tłumie nie zwracali na siebie uwagi. „Bury” był w płaszczu a „Kolka” w kożuszku. Załatwiali jakieś sprawy w dyrekcji i zaraz jechali do Białegostoku przez Bielsk Podlaski. Rozmawiał z nimi „Słoń”. Sprawiał wrażenie jakby się już znali, widocznie widzieli się już przedtem, za pośrednictwem „Tadeusza”. Podszedłem do nich - przy „Słoni” wydawałem się malutki. Wacek mówi, że „Łupaszko” wie już i zgadza się na spotkanie. „Bury” na to pyta się go, skąd „Łupaszka” ma te wszystkie wiadomości, a Wacek pokazuje wzrokiem na mnie:

- Oooo. - „Bury” zdziwił się, że ja, taki mały chłopaczek....., a Wacek się śmieje:

- Oooo, to cwaniak. - Po chwili „Słoń” pożegnał się z nami. Wydaje mi się, że zabrałem się z nimi samochodem do Bielska, ale nie pamiętam tego dokładnie. W każdym bądź razie po nawiązaniu kontaktu „Bury” przyszedł osobiście do Kiersnowa. Marian Kiersnowski był przy tym. [Kiersnowskiego posadzano o współpracę] „Bury” przyjechał do Bielska.

W końcu lutego lub na początku marca [1945] Wacek „Słoń” przy pomocy siatki wykradli „Miecia” ubowcom. Jak jego wysyłali

[ubowcy] w teren, to gdzieś tam z odległości go obserwowali. „Miecio” zwodził ich. Udawał, że pokaże meliny, które zna, ale nic nie pokazał. Oczywiście to „Pająk” powiedział im, że „Miecio” wie, bo wiedział, że to ja „Miecia” przyprowadziłem do puszczy. No i któregoś razu nasi oderwali go i czmychnęli. Obeszło się bez strzelaniny. Dokładnie jak to było, to nie wiem, bo mnie przy tym nie było. W każdym bądź razie „Miecia” dostarczył do Kiersnowa Wacek „Słoń”. „Miecio” relację zdał „Łupaszce” i ten awansował go do stopnia plutonowego. To było w początku marcu.

Jak raz przed Wielkanocą, gdzieś w końcu marca (czy może na początku kwietnia) „Łupaszka” spytał mnie i „Miecia”, który z nas chce zostać jego adiutantem.

Na pierwszy dzień świąt „Łupaszka” był proszony na kol. Kiersnowo do siostry Anieli. Byli trochę.... [nieskończone]

Po tej akcji [jakiej?] zatrzymaliśmy się w Pacach [?], k. Kiersnowa. Była gadka, że „Rakoczy” razem z „Łupaszko” szedł. Ale nie ma potwierdzenia tego. Że niby na Wołkowysk szedł razem z nim. Okazało się, że „Rakoczy” do Białegostoku przyjechał sam, ale widać że też nie miał kontaktów. No i przyprowadzili go do oddziału. Spotkaliśmy się u Sielkiewiczów. Ale tylko z nami się przywitał, parę słów zamienił i zaraz rozstaliśmy się, każdy poszedł w swoją drogę. Nie chciał z nami zostać. Miał iść na Warszawę. Nie wiem skąd on pochodził. W V Brygadzie na Wileńszczyźnie był dowódca I kompanii szturmowej. Potem przedostał się do Anglii. Miał tam jakieś zarzuty krzywdzące, jakieś niesnaski tam były.

.... to była kolejność marszowa. Pierwszy szedł „Zygmunt”, za „Zygmuntem” przeważnie szedł „Wiktor”, jeżeli nie był prowadzącym i po kolei: Wacek „Słoń”, a za nim ja. Przeważnie jednak wyłaziłem przed „Słonia”. No i idziemy tak przez pola, na ukos. Droga idzie przez miedzę. Dochodzę do miedzy, przeskoczyłem ją. Wacek doszedł, mało się nie przewrócił na tej miedzy, bo nie wiedział czego ja skoczyłem. Idziemy dalej. Znowu dochodzimy do pola. Ścieżka wydeptana. Podskoczyłem. Słyszę łup - to „Słoń” skoczył. No to idę dalej i już na prostym, gdzie już nie ma żadnej przeszkody robię skok i Wacek też skacze. W końcu dochodzę do takiej dolinki, przysiadam i przechodzę, no a Wacek nogą przesuwa po płaszczyźnie i skok, wymierzył w tym miejscu, gdzie ja zniknąłem mu. No i zaraz przerwa, wolno palić. A ja zaczynam się chwalić:

- Słuchajcie. „Słonia” trenuję. Tresuję go jak w cyrku, kurza noga. - No i opowiedziałem jak szliśmy. No i idziemy dalej. Robię skok - „Słoń” też. To ja jeszcze raz - chłopaki już się oglądają na „Słonia” - a on podchodzi do mnie, za kark mnie łapie i mówi:

- Będiesz chodził za mną. Dość skakania. - No idę za nim, ale za nim to jak za stodołą - nic nie widać. On miał taki niemiecki płaszcz ceratowy i szerokie cholewy w butach. Jak wsadził w te buty te swoje potężne nogi, to takie człapawy były, że hej. No to idę za nim i myślę sobie: czekaj ty, kurde bele. Jak ty mnie wychałeś do tyłu, to ja ci płaszcz obsikam. No i nie wychodząc z szeregu idę i mu po tym płaszczu sikam. To z płaszcza ścieka i prosto na bryczesy i leci po cholewach. Przyszliśmy na kwaterę. Wacek siedzi na przeciwko mnie. Usiad i maca buty i patrząc na mnie mówi:

- Kurde bele, ej ty. Czyś ty mnie nie obsikał?

- No co ty? Nie poczułby, że ja na ciebie sikał? Wacuś, coś ty. Na pewno nie. A Wacek rękę podnosi do nosa i podejrzliwie obwąchuje.

- To niemożliwe - mówi nie wierząc mi.

- Normalnie. Masz ceratowy płaszcz, to skrapla się pot i ścieka. - Wacek jednak nie zdawał się być przekonany.

Wacek jak chciał pospać na kwaterze, to musiał się najpierw przede mną schować. Z kolei jak ja Wacka nie widziałem, to byłem chory. Chodziłem, zaglądałem wszędzie, aż znalazłem Wacka. No i wtedy, gdy ganiał mnie za te sikanie na jego płaszcz [czyżby jednak więc nie uwierzył i chciał wlać?] schował mi się. ja chodzę po chałupie i szukam go. Nic. Poszedłem na sąsiednie kwatery i pytam, czy tu Wacka nie było.

- Nie, Wacka tu nie było - odpowiadają, no ale przecież gdzieś musi być. Gospodarz miał ściętą brzozę no i cała korona gałęzi leżała na ziemi. I tam wóz stanął. Wacek wlaź do tego wozu i tam spał. W końcu go tam znalazłem.

Kiedyś kwaterowaliśmy na jakiejś kolonii. Legowisko było na środku pokoju. Wacek położył się wznak i chrapie. Wyglądał jak nieboszczyk w katafalku. Ach ty, będziesz tak się wylegiwał - pomyślałem. Idę do kuchni, wsadziłem palca do sagana i palca czernię. Raz, drugi. Baby od razu zainteresowały się - Kryśka (późniejsza „Zygmunta” żona) i gospodyni, no i widziały, że ja mu tam koło pyska wasy maluję. W końcu wymalowałem mu wasy, ale tego było dla mnie za mało. Rozpiąłem mu rozporok, wyjąłem jego fajfusa, wywaliłem na wierzch i poszedłem do kuchni i mówię do bab:

- Idźcie, zobaczcie, teeraz dopiero wymalowany jest. - No, poszły zobaczyć. Stały w jego nogach, patrzą na te wasy i w końcu ich wzrok ześliznął się na dół. O rany, jak się rzuciły

do ucieczki. Zaczęły mi grozić, że mu powiedzą. No to ja mu zapiałem rozporek, a Wacek dalej śpi jak słoń. W końcu obudził się i poszedł, a „Zygmunt” już mu powiedział, żeby mi naukę dał - zezwolił mu, zeby więcej takich numerów nie robił, bo na pośmiewisko kutasa mu wyciągnąłem. To Kryśka mu powiedziała. No, ale Wacuś mnie piekielnie lubił, po prostu piekielnie. No i tak poważnie do mnie mówi, groźnie, ale kżdy przecież wiedział, że to dusza nie człowiek:

- Słuchaj ty - mówi ostro - wyciągnąłeś mi interes.

- Wacek, kto ci to opowiadał? No, jak ja bym ci wyciągnął, to nie poczułbyś?

- No, faktycznie, że poczułbym, to na pewno, nie... - nie był już pewny swego.

- No widzisz - czułem się już uratowany.

- No widzisz, to co oni tu tobie zmyślają? Nie słuchaj i nie wierz.... [brak końca]

W końcu czerwca 1945 r. przyszło do oddziału „Łupaszk” z oddziału „Konusa” ok. 30 ludzi, z których żyją jeszcze m.in.: Aleksander Wołonciej „Wróbel” (zam. w Narewce), Olszewski Jerzy „Puszcza” i „Maniszewski”.

Wielki wrzask był, że „Zygmunt” w maju Patokę spalił [kiedy był ten wrzask - w 45 czy 20 lat później?]. A to było tak. Kwaterowaliśmy wtedy w Hieronimowie i dostaliśmy cynk, że do Patoki przyjechał oddział wojska i zbierają kontyngent, po prostu zabierają ludziom ze spichrzów zboże i dla wojska. A przecież skąd ci ludzie mają mieć, jak już Niemcy wcześniej zabrali kontyngent, front się przewalił niedawno a te skurwysyny, rabusie, jeszcze dobijają ludzi bez względu na to czy

to Białorusin, czy Polak. „Zygmunt” chciał ich przepędzić, bo my tutaj żywimy się. A was (wojsko) niech Moskwa żywi. W Hieronimowie, w majątku, mieszkali już osiedleńcy z kresów. No i połową szwadronu poszliśmy [do Patoki] i oddziałem, który szedł w augustowskie, w którym przyszli Wołyniacy. Część poszła do augustowskiego. [wyjaśnić: kto wspomagał akcję: ludzie z Wołynia? Co za oddział szedł w augustowskie? Część poszła do augustowskiego - co to znaczy?] No i oni z nami poszli pomóc nam w tej Patoce. Jak pamiętam oni [wojsko?] wpakowali się do takiego murowanego chlewa i z tego chlewa się ostrzeliwali [kto?]. „Zygmunt” wylazł z ukrycia i w biodro dostał. Byłem wtedy przy nim. Zobaczyłem jak się okręca i słaniając się idzie za chałupę. Ja za nim i tam widzę, że on ma całe usta czerwone. Wystraszyłem się, że Stary w usta dostał czy coś takiego. A on dostał w biodro. Wziął więc kilka tabletek pentozyłu, a one były czerwone, barwiły na czerwono. Jak doszedłem do niego, to powiedział:

- Zawracaj jakiegoś chłopca z furmanką i dawaj „Wiktora”. - Jak raz na podwórzu był chłop z furmanką. Siadłem na ten wóz drabiniasty z tyłu, chłopca z przodu i on konia popędza, a ja jego. No i wyskoczyliśmy za wioskę, prawie pod majątek podjechaliśmy, a w połowie drogi już „Wiktor” z pomocą szedł [tzn. gdzie oni byli?]. Nim „Wiktor” się ruszył, to już wszystko było wzięte do niewoli. Tego Żyda [jakiego?] rąbnęli, wojacy się poddali. Samochodem wróciliśmy do Hieronimowa [a co z „Zygmuntem”. „Mikrus” przecież jechał razem z nim?].

No i po tym całym balu odwet zrobili. Przecież rozpieprzyliśmy oddział aprowizacyjny. Wojsko żreć nie dostaje. Gdzie - a tutaj banda. A skąd ta banda przyszła? No, z Hieronimowa. No to rozpierdolim Hieronimowo tagda. I przyjechali Moskale -

Sowieci. Chłopi chytrzy są - jest okazja interes zrobić, i podpalili te bandyckie gniazdo. Ludzie dobytek ratowali, rzucaли przez okna w krzaki, bydło wypędzali z obór. Ale tam stali ukryci te chamy z Patok i kradli, to co ci ludzie próbowali uratować: poduchy, czy te bydło.

Na drugi dzień rano dotarł do nas ze skargą chłop z Hieronimowa, że ci z Patoki rabowali. No to z powrotem przyszedliśmy do Patoki. Weszliśmy do wsi i dawaj zbierać chłopów na środek wsi, przy domie sołtysa. A u sołtysa, na kwaterze było dwóch Rosjan, felczerów, ze skrzyniami lekarstw. Jak Ruskie pędzili stada krów, no to ci felczerzy dbali o to, żeby te krowy dotarły do Rosji. No i chłopom zapowiedziane zostało, że rabowaliście Hieronimowo - „Zygmunt” wyłuskał im wszystko po kolei - i teraz za to, za waszą chciwość, za wredność, pójdziecie tak jak stoicie. Nikt teraz nic nie ma - ani wy, ani oni [ci z Hieronimowa]. Wieś będzie spalona. A jeżeli padnie choć jeden strzał, no to wszystkich was powystrzelamy. - No i poszli wieś palić. Tylko dwa domy ocalały, bo tam mieszkali katolicy, a to reszta kacapy - podpalili i po kolei paliło się. Mało co chyba się uratowało, bo nie dawali obór otwierać. A chłopci stali na środku wsi otoczeni przez chłopaków i przyglądali się, bo co mogli zrobić? [kto podpalał, w jaki sposób: zapałkami, wiechciami, pojedynczo, czy drużynami?]. Było zapowiedziane, że nie wolno ratować dobytku, że będziemy likwidować takich ludzi, no i sołtys i jego syn próbowali coś z domu wynieść. „Zygmunt” zauważył i z automatu po nich: pe pe pe i zostali się w ogródku.

No i spaliliśmy wieś, Sowietów wzięliśmy ze sobą. Mieli stracha, że w łeb dostaną. No, ale że nic nie mieliśmy do nich, był wręcz zakaz ich likwidowania [kogo - tylko tych Ruskich,

czy Ruskich w ogóle?], tylko lekarstwa im zabraliśmy, a ich puściliśmy. Wracając, po drodze weszliśmy do Narewki i rozbroiliśmy posterunek. Budynek był drewniany. Milicjanci siedzieli wystraszeni na piętrze [dokładniej opisać] i puszczaliśmy na kwatery do wsi Budy, k. Zwierzyńca. Na drugi dzień umówione było spotkanie z „Rykiem”, na chyba 7 kilometrów, na szosie Białowieża - Hajnówka, bliżej Hajnówki. Doszliśmy do szosy. Żeby dojść do Czerlonki, to szosę trzeba było przeciąć, a my skręciliśmy w prawo na Hajnówkę. „Zygmunt” jechał podwodą. To była 2 drużyna „Żwirki”. Wpakowali się [wyraz nieczytelny]. Doszli do mostku, do takiego przepustu i nagle 3 samochody wylazły. Tą furmankę z „Zygmuntem” na gwałt trzeba było z szosy ściągać i w krzaki prowadzić. Ostrzelaliśmy Sowietów, a ci zeskoczyli z samochodów, zaraz w tył i poszli w las. Kto by tam ich gonił. [dokładny opis]. A oni ściągnęli na nas piekło. My w tym czasie zaraz z Czerlonki ściągnęliśmy kierowców (to byli toruniacy). Mieliśmy też jednego jeńca - rannego Ruskiego. Dostał gdzieś tam w łeb - kula zadrasnęła tylko. „Zygmunt” dał mu tabletkę i mówi do mnie:

- Daj mu wody. - Zszedłem do przepustu, nabrałem wody w czapkę (nie do środka, tylko po wierzchu) i dałem Ruskiemu, żeby zapił lekarstwo, ale ten wystraszył się, że chcemy go otruć. W końcu jednak „Zygmunt” przekonał go i rusek połknął tabletkę.

Zabraliśmy samochody i przyjechaliśmy do Czerlonki. Tam było parę krów i buhaj, rozplodowiec, chyba z tonę ważył. Podjechaliśmy pod taką hałdę, bo nie było jak ich wyładować. Zaraz go zarżnęli, mięso dali dla gospodarza, żeby jakiś posiłek nam przygotowali, ale nie dogotowali tego, bo zaraz przyle-

cieli jeden albo dwa „Kukuruźniki”. Noc już się zbliżała, a oni w tym czasie ściągnęli posiłki: pograniczników z zastawy, wojsko, UB, i czort tam jego wie co jeszcze. A my na dwóch ciężarówkach, a reszta na podwodach, bo przecież broni mieliśmy mnóstwo nazdobywanej, bo poszliśmy przecież aż pod Białystok [opisać rajd pod Białystok -], więc tę broń ładowaliśmy na furmanki, a chłopaki mogli przejechać się samochodami, bo dla nich to była frajda. Tymi samochodami dojechaliśmy do nadleśnictwa Topiły, gdzie jest rezerwat. Takie grzędzawiska, dukty, przecinki, że to było nie do przebycia samochodem. Silniki wyły na najwyższych obrotach i kolejno „padały”. Najpierw jeden się zatarł, bo w chłodnicy woda wyparowała, czy coś takiego. Chłopaki wysiedli i porzucili go. Drugi wysiadł jakieś 2 km. przed Tokarami. Zresztą samochody nie mogły jechać szybciej niż furmanki, więc zysk z ich posiadania był niewielki. No i gdy przyszliśmy do Tokar, to w nadleśnictwie zawaterował „Wiktor” z 1 plutonem. Drugi pluton był słabszy, bo był mniejszy i całe te zdobycze wojenne poszły z nami i „Zygmuntem” na Smolarnię, na Majdan.

No, ale zostawiliśmy za sobą tak wyraźny ślad, że i ślepy by trafił. Ślady głęboko wryte kołami, na drodze zostawione dwie ciężarówki. Pierwszy pluton miał zakwaterowanie w zabudowaniach z brzegu wsi, z kierunku którego przyszliśmy. Wystawiliśmy posterunek, ale po tym nocnym marszu i tarapatkach wszyscy byli pomęczeni i, nie tak jak zwykle, czujni. Na warcie stał Olelowiec „Jastrzab” (z Wileńszczyzny). Widocznie zmęczony zasnął, bo nad ranem (czy może koło południa) podszli go i zastrzelili, czy udusili. Pamiętam, że wtedy, gdy rozległy się strzały łąziłem jeszcze po podwórku, na którym było pełno wyprzęgniętych koni. Wozy stały przykryte. Na jed-

nym z nich leżały 15-kilowe worki z amerykańskim tytoniem. Po tej samosiejce był dla nas za słaby. Paliliśmy go w gazecie. Tytoń delikatny, tylko bibułka nie ta. Na innych wozach z kolei stało mleko skondensowane w puszkach, słodkie. Jeszcze nie wszyscy ułożyli się do snu, gdy wywiązała się nagle strzelanina. No, ale nasz pierwszy pluton był zabezpieczony od strony lasu aż do leśniczówki [gdzie kwaterował „Wiktor”? [dokładniej opisać atak sowietów, jak 1 pluton był zabezpieczony]. Więc jak Ruskie uderzyli to nasi za granaty, rzucili je przed siebie i przebili się i weszli w las [co stało się ze zdobyczą znajdującą się na furmankach]. Kacapy nie wytrzymały uderzenia i zaczęli uciekać, ich tyraliera pękła. Zaczęło się wzajemne ganieanie. Wtenczas „Szwejk” dostał w pośladki, „Jurand” w nogę, „Kim”, który strzalał z „Derkacza” dostał pod łokieć, tak że ręka zwisała mu tylko na skórze, ścięgnie, reszta rozniesiona była. Z sanitariuszek była tylko „Danka”, która opatrywała ich. Urwała „Kimowi” tę rękę, założyła opaskę uciskową, bandaż na cały korpus. „Kima” najpierw zawieźli do Hajnówki, pewnie do Laskowskich, a później do szpitala w Białymstoku, a pozostałych rannych wzięliśmy ze sobą. Gdy więc „Zygmunt” przyszedł z pomocą dla nas do leśnictwa, to już nas tam nie zastał. Gdzieś tam w lesie strzelanina była itd.[czyja strzelanina? „Zygmunta” czy „Wiktora” z Ruskimi”].

Poszliśmy na Budy, w stronę wsi Wiluki. Wyszliśmy na skraj puszczy. Kwaterowaliśmy na takich kolonijkach. Tutaj opatrzeni byli ranni. „Szwejk” leżał na brzuchu, wypinając dupsko do góry, „Jurand” stękał. Czekaliśmy zmierzchu, przyczajeni, żeby o zmroku oderwać się i zniknąć w terenie. Pogubiliśmy się. Plutonowi nie ma, nas jest tylko garstka, obciążeni balastem -

rannymi i zdobyczną bronią. Dopiero następnego dnia spotkaliśmy się. Nie pamiętam już w południe, czy po południu. Spotkaliśmy się tam, bliżej Wygonowa. Szli do nas, na spotkanie. Ja to już byłem przekonany, że to idzie obława, że tu już przyjdzie nam łeb położyć przy naszych rannych, no bo w mundurach, czyli jakieś wojsko. Ale tamci dali znak białą chusteczką, do karabinu uwiązaną, bo to za duża odległość była żeby można było rozpoznać. Znaków rozpoznawczych nie mieliśmy ustalonych, po prostu ktoś wyciągnął tę chusteczkę, tak żebyśmy mogli domyślić się. No i gdy tylko podeszli na wystarczającą do rozpoznania odległość zaraz rozległ się po linii krzyk, że to nasi. Jest „Wiktor”, jest pluton. W tych swoich zeznaniach pisze, że go tam nie było. Nie prawda - „Wiktor” tam był. Prowadził cały ten pierwszy pluton. Przyszliśmy w swoje miejsca - pod Lubiejki. Rannych przekazali na meliny, a my dalej zaczęli wojaczkę. Pod Majdanem mieliśmy 2 zabitych. Zginęli: „Jastrzab” i „Julek”. Później w Topiłach ludzie wystawili dwa krzyże, ogrodzili i stoją do dziś.

Akcja pod Brzezunami. Byłem na tym całym przesłuchaniu przecież. To było przy sztabie, przy „Zygmuncie”. To ja i „Uran” byliśmy sprawcami tego wszystkiego, bo we dwóch zatrzymaliśmy te samochody z tymi prokuratorami. „Ran” dostał za to awans do plutonowego, a ja do kaprała.

Ja miałem konia wojskowego, „Uran” miał „Onufrego”, to był stary, przedwojenny, kawaleryjski koń.

Mój nazywał się „Urwis”. Z nim to były istne jaja. Sam go wyćwiczyłem, a miałem go wyćwiczonego jak psa. Nigdy go nie brałem na wodze. Na przykład jest tak: zbiórka przed wymarszem. Kupa chłopaków, ciągle jakieś kawały robią. Idziemy na

zbiórkę. Z konia zlazłem i idę i pakuję się w tłum, żeby stanąć na zbiórce, a koń za mną - jak ktoś mu przeszkadza, to zębami go bierze. Patrzą tylko, czy się nie obraca za nimi. I wokół mnie robi się luz - mam miejsce. Raz mu chciałem uciekać, to miałem strachu pełne portki. Myślałem, że przeskoczy mnie, a on gównem - siad na zad, zaparł się, podniósł się i pysk do kieszeni - sprawdzić chciał czy chleb tam jest. Taka była z niego zaraza. A ja pod nim mogłem chodzić, przechodzić, jak ciałem, taki był to koń. I z tym „Onufrym”, z tym starym bykiem, dwaj koledzy byli. Jak chcieliśmy chłopakom dokuczyć, to „Urwis” z „Onufrym” do jednego koryta dostali żreć. Do rana nie było spokoju, bo te cholery, dwa konie - dwa gniade - z jednego wiadra wodę mogli pić. Nie to, że oba wsadzili pysk i wychlali. Najpierw „Onufry” wsadził morde, pociągnął, pociągnął, podniósł łeb, tu woda mu cieknie i „Urwis” pije. Puste wiadro, chłopaki nalewają wody i konie dalej pija. No broń Bożeby żeby inny koń w tym czasie podszedł. Od razu kwik i kopanie. To samo z korytem, z ziarnem. Jak tylko ich dwóch razem postawisz do koryta zaraz lejo wszystkich z lewej i prawej, a między sobą ani trochę - wielka przyjaźń. Już tak było, że jadę przy „Zygmuncie”, to ten cholera zateskni i zaczynają rzeć do siebie. Dwa pedały psia kość.

No, a co z tym „Onufrym” było, oj. Przychodzę do niego i zaczynam go głaskać:

- „Onuferek”, tyyy jesteś stary wiarus... - on popatrzy tak na mnie, a ja drapię go lekko za uchem. „Onufry” opuszcza łeb coraz niżej, coraz niżej, aż do ziemi prawie, a ja go wtedy w pysk, a on - momentalnie - w tył zwrot i wali zadem.

Innym razem do kąpienia w rzece idą. Wody tylko do brzucha. „Onufry” wlaż i położył się. I żebyś diabła zjadł, nie ruszy się dopóki nie wyleży się w tej wodzie. Tooo był koń.

Jeśli chodzi o bitwę pod Brzezunami, to był przypadek. Szliśmy wtedy do Czarnej, gdzie miała być koncentracja (czy gdzieś w Korycinach). „Zygmunt”, żeby się przypodobać „Łupaszce” założył sekcję zwiadu konnego. No, ale tych zwiadowców trzeba było nauczyć musztry ułańskiej, bo to przecież zupełnie inna musztra. Trzeba było też potrenować trochę tej woltyżerki. Stary ułan „Świder” (służył przed wojną w [gdzie?, w ułanach?]) „Koliber” też służył przed wojną w 4 Pułku [Ułanów Zaniemeńskich?], no i obaj zrobili dla nas ćwiczenia. Tam, gdzie teraz jest asfaltowa szosa aż pod Brańsk, przez Popławy, to był gościniec, trakt. Od strony Dołubowa był klin wygonu, takich nieużytków - jak to białostoczenie nazywają - smóg [słóg?]- ogrodzony za stodołami. Na ukos w niego droga wchodziła. No i na tej łące uprawialiśmy hippikę. Było nas pięciu - cała sekcja zwiadu. Ćwiczyliśmy równaj w prawo, na koń, z konia. Spocznij, to trzy razy konia klepiesz w szyję, a to klepięcie musi brzmieć jak uderzenie jednej ręki. Jak przed wojną szwadron - 60 koni - stoi w szeregu i wszyscy robią spocznij, to jak to brzmi. Równaj w prawo, to odwracasz głowę w prawo i równasz do prawego, a konie - trzeba wyjść przed konie, chwycić uzdę przy pysku i tak stanąć na linii, żeby jej nie złamać. To wszystko musiało grać, bo wszyscy musieli jednakowo robić. Wychodziło to nam bardzo dobrze. W końcu nawet małpę można nauczyć, a co dopiero człowieka.

„No i „Świder” podaje komendę:

- „Kuliber! Pół wolta, maaarsz!!! - (pełna wolta, to pełny obrót 360°, a pół wolty, to wyjeżdżało się z wolty, robiłeś obrót i wjeżdżałeś w swoje miejsce - to takie stare jazdy były) - a tu raptem „Kolibier” krzyczy:

- Samochody! - No i jak on był tym pół woltem, od razu zawiął i do wiochy ucieka (później już nie dochodziliśmy dlaczego tak uciekał, a konie - jak bydło - jeden za drugim. Widzę kątem oka, że „Uran” zeskoczył z konia, no to ja też zeskoczyłem i patrzę, że rzeczywiście leci „Fiacik”. Taki jak na starych filmach, osobowy, z tyłu koło. Rozejrzałem się i widzę, że nasz dowódca, „Świder” też poleciał do wsi „alarmować”. A my zostaliśmy we dwóch. Do gościńca mieliśmy zaledwie 30 metrów, rzuciliśmy więc biegiem w jego kierunku. „Uran” był pierwszy, a ja za nim, tak że jak ja dobiegałem do gościńca, to przede mną już zatrzymywał się samochód, a „Uran” stał po prawej. Był uzbrojony w „Pepeszke”, ja miałem kabeka („Zygmunt” nie dawał mi innej broni wziąć. Ten kabek był przestrzlany, był tak celny, że job jego mać. „Zygmunt” na popisy brał go sobie i do pudełka zapalek walił przez całe podwórze. Z automatu na 100 m. to w dupe można pocałować gościa, a jak byłem gońcem przy „Starym”, to jak widział dalszy cel odwracał się do mnie i mówił:

- Dawaj kabek - przyłożył się, strzał i trafiony. - Ale ja i tak na swoim postawiłem, bo w Sikorach „Peesa” sobie ukręciłem i jakoś „Zygmunt” darował mi to). Widać, że to Sowieci, bo w tych ich rubachach i bluzach, pasy mieli poodpinane, a samochód zapakowany aż pod dach, za siedzeniami. No i „Uran” coś tam drze się - taki zdenerwowany:

- Za Katyń! Wyłazić! - wyszli, stanęli przy otwartych drzwiach - Tri szaga wpieriod! - i pokazuje, że mają podejść

do przodu zauważyłem chwilę zawachania z ich strony, ale w tym momencie ja krzyknąłem:

- Naprzód! - oni obejrzeli się do tyłu i wyszli przed maskę samochodu. Wtenczas ja od razu do samochodu i zabrałem dwa pasy. Ten prokurator, pułkownik, Wasiliew, miał włoską „Berette”, a z nim kapitan jechał, który miał „Tetetke”. No to ja te dwie spluwy zagarnąłem. Mapnik jeszcze złapałem. A w tym czasie te nasze ułany alarm zrobili i we wsi „podjom”. Zza stodoły posypały się w naszym kierunku serie z „Thomsona”. Bije po nas różno. To skurczybyk „Żwirko”. Tylko on miał taką broń. „Thomson” jak strzela, to ma charakterystyczny dźwięk. Od razu wiem kto strzela. Drę się więc do niego:

- Ty kurwa twoja mać, ty Jóźku [pierdolony?] daawaaaj tuu!!!

- I „Zygmunt” stamtąd wybiega. Akurat był u nich na inspekcji. Pas ma jeszcze przewieszony luzem na ramieniu, kabura zapięta i w biegu zdejmuje pas z ramienia i zapina go na biodrach i już leci do nas.

To wszystko trwało moment. Ledwie zabrałem z „Fiata” te dwa pasy z pistoletami i już słyszemy warkot silnika kolejnego samochodu. Klekotał powoli: łau, łau, łau - jakby miał lada chwila zgasnąć z przeciążenia. Oglądamy się, a tu jedzie wielki diesel (taki z ogranicznikami z gałkami na zderzakach - dla kierowcy dla orientacji) - „Willy”, półciązarówka. A z tyłu jedzie, przyczepiony na sztywnym holu, jeszcze jedno osobowe auto. Diesel Zatrzymuje się i raptem sowieckie wojsko z niego wyskakuje. Nie widzę za bardzo czy z bronią, ale to jasne, że jak w mundurach, to i z bronią. A nas dwóch tylko, ale nasi już lecą. Za kierownicą „Willysa” siedzi baba w mundurze. Nie zdążyła nawet wyskoczyć z auta. A w nim czego tam

nie było. Cały załadowany szmatami. No, wysypali się ci żołnierze z tego disła, ale zamiast do nas skoczyć w żyto poszli. Uciekli. Nie wiedzieliśmy, że wtedy był taki zbieg okoliczności. Jak spojrzeć na mapę; są Brzeziny. Za Brzezunami, w stronę Dołubowa, po lewej stronie ciągnie się las. Potem, przed Dołubowem, zamyka się i skręca w prawo i na lewo: na kolonii Niedźwiadnik i na Smolugi czy jak to tam się nazywa. I na tych koloniach po lewej stronie w lasku kwaterował „Mścisław” ze szwadronem. A pod lasem, w Niedźwiedniku, w lasku kwaterował „Piast”, a „Zygmunt” zajął wieś. I wszyscy trzech nic o sobie nie wiedzieli. Po prostu, przez przypadek, ciągnąc na koncentrację tam obrali sobie miejsce postoju. („Burego” tam nie było). Gdy więc u nas rozległy się strzały tamci zostali zaalarmowani i gdy zobaczyli tych ruskich, to rzucili się do akcji i wybili ich. Chyba wszystkich było dziewięciu Sowietów. Żaden nie uciekł. .

To co się stało w Brzezinach, że była ta draka i to wszystko, to ludzie sami narobili. To nie „Zygmunt” był temu winien. Gdyby ludzie nie byli tacy zawistni i chytry, to by było cicho i nikt by nic nie wiedział, gdzie tych ruskich rabneli. Jak wprowadzili tego disła do wsi i zaczęli go wyładowywać, żeby zobaczyć co tam w nim jest, a tam i ubrania, i obrazy, i zastawy, i porcelana, różności. To wszystko co Ruskie „bombili”, wsio trofiejne. Była nawet walizka z medalami i orderami. Na zdjęciach z tego okresu często można spotkać na kaburach pistoletów gwiazdy czy ruskie ordery. To wszystko jest z tych Brzezin. Przedtem tego nie było. To właśnie po Brzezinach modne się stało. Ja przy kaburze miałem „Krasną Zwiazdę”. To była taka wypukła, duża, czerwona gwiazda. No i to wszystko co tam było rozdano tym gospodarzom u których

kwaterowaliśmy. Jeden wziął widelce, inny łachy, inna garnków nabrała i w ten sposób ludzie rozebrali.

Disla rozładowali, zaprowadzili pod Działkowice i na szosie spalili. A dwa pozostałem zaprowadzili na kolonie osmolskie i tam zamelinowali. Ukryli w stogach siana (potem je „Szczęsny” z KN-u, jak pracował w Warszawie, kupił - wspominał o tym niżej).

Kacapa, tego pułkownika Wasiliewa - taki łyśy, krępy - zaraz zabrali na przesłuchanie na kwaterę „Zygmunta”, w domu sołtysa. Po rusku nikt nie umie i weź go przesłuchaj. No to „Rogala” wzięli, bo niby ruski znał, ale on głównie go znał, tak samo jak i my. Pułkownik stawiał się - wyzywał nas od bandytów itp. Komunista, że hej. „Zygmunt” spytał go:

- To co prokurator? Ile wyroków wydałeś? - No, nie było co z nim gadać. Trzeba było tylko brać po chichu, kopać doły i wapnem przysypać i nic nie gadać, nie robić reklamy tak jak kacapy z nami robili. Śladu do dziś po tym nie ma.

Z kolei ta kobieta, kierowca, płakała, że ona z rebionkiem, że żona pułkownika. Z kolei w tych ubeckich dokumentach piszą, że to telegrafistka, nie żona pułkownika, to czort ich tam wie jaka jest prawda. W końcu „Zygmunt” dał rozkaz żeby ich rozstrzelać. Wyznaczył „na ochotnika” jeszcze trzech chłopaków do wykonania wyroku. Jeden rozplakał się, bo wypadło na niego, że musi zastrzelić kobietę. Nie chciał tego robić, niemal błagał „Zygmunta”, żeby zwolnił go z tego obowiązku ale ten się uparł i chłopak musiał iść. Poprowadzili ich pod las, do wykopanych dołów. Wasilew poprosił jeszcze:

- Razrieszyctie, popraszczatsja s żenoj. - Podszedł do niej: No praszczaj mamasza. - No postawę zachował piękną. „Zygmunt”

nawet rozważał na początku, żeby go zwolnić, ale namyślił się i powiedział:

- Nic z tego, bo jak cię puszcze, to za ciebie skórwysynu wieś spala, zrabujecie, zgwałcicie - no i Wasiliewa to „Zygmunt” sam osobiście zastrzelił, „Wiktor” drugiego, potem poszła kobieta i jeszcze jeden. Wcale tam nie widać było, że by ona była w ciąży, a kto to miał sprawdzić? Oni nad nami się nie rozczulali, to co było rozczulać się nad nimi? Dostali w łeb i koniec.

Samochody odesłaliśmy na osmolskie kolonie. Jeden nam wysiad, to zostawiliśmy go w lasach pod Korycinami.

No i po kilku dniach dowiadujemy się, że z Bielska przyszła ekspedycja karna i sołtysowi zgwałcili córkę i zabili ją i zaczęli za wieś się brać i palić. No, ale my przyszliśmy z odsieczą. Gdzie oni uciekli, to czort wie, tylko dwóch maruderów złapaliśmy. Zegar ścienny nieśli zrabowany w Brzezinach. Jeden to był starszina, a drugi bojec. Bili się z nami do ostatniego naboju. Jednego oddaliśmy narodowcom, bo akurat na sąsiedniej kolonii stał oddział narodowców i strasznie jakiegoś Ruskiego chcieli dostać. Zadźgali go nożem chyba. Chyba od „Tatara” byli. Nie jestem pewien. No a tego starszine my wzięli ze sobą. Mały był, suchy. „Kuba” go rozwalał. Chyba ze cztery razy mu w łeb walił, skurwysynowi. Za korzeniówko, w lesie tołwińskim to było. Co mu pierdolnie między uszy, to ten na czworakach i podnosi się, i podnosi się. Aż w końcu go zatłukł czwartym pociskiem. Ot, zwykły rabuś, złodziej, przyszli palić wieś - oddział pacyfikacyjny.

Tak jak wieś Olszewo pod Ciechanowcem podpalili. Jakieś samochody szły, cysterny, od Ciechanowca. Jechały chyba na Siemiatycze, czy na Mielnik, do Brześcia. Niby wzięli paliwo dla

armii pancерnej. Ciekawe tylko, że nie na Zachód, a do Brześcia, na wschód. No i wracał patrol żywnościowy, czy to była jakaś odprawa, w każdym bądź razie kwaterowaliśmy na wsi. A patrol żywnościowy - drużyna z naszego szwadronu - dojeżdżała na furmankach do wsi i akurat wpakowali się na te samochody. Zeskoczyli z furmanek i otworzyli ogień. Zapalili jeden wóz, drugi - w końcu płonęło ich cztery czy pięć - i pozostała część kolumny uciekła. No i niedługo potem przyszła ekspedycja karna spalić wieś. No i znowu przyszliśmy z odsieczą, ale też uciekli nam. Widać gdzieś był obserwator na punkcie obserwacyjnym. Zobaczył, że się zbliżamy, bo do wsi dochodziliśmy z drugiej strony Grodziska - teren otwarty, tyraliera jak rozciągnięta to końca nie widać, odległości pomiędzy chłopakami jak na poligonie - przepisowo - trzy metry. No i kacapy splądrowali parę chat i uciekli. Byłem tam, to

„Piast” przyjechał z Torunia na 4 ciężarówkach. To były 2 „Zisy” i 2 „Studebekery”. Rozpieprzyliśmy Boćki i te samochody też na koloniach osmolskich zamelinowaliśmy.

..... [jaki był początek akcji i gdzie ona była?] Poruszał się, był jeszcze w ruchu. No, było kilku rannych. Może i zabici byli, nie wiadomo, bo to szybka akcja była. Tu od razu na lotnisku alarm. „Kukuruźniki” od razu wystartowały, a my od razu zostawiliśmy ten samochód (nie paliliśmy go ani nic nie robiliśmy z nim), zabraliśmy broń, zostawiliśmy ich rannych - gównem nas obchodzili - i poszliśmy pod Dobromil, a stamtąd na lasy (były tam takie kępki lasów) pod Knorydami, na kolonie Zawady, Szumki, które były tam rozsypane. A

„Kukuruźniki” ganiały tu za nami. „Kukuruźnik” był napastliwy, to ostrzelaliśmy go, ale bez rezultatu.

W trakcie zwalniania z oddziału dostałem lewe papiery - świstek z Urzędu Gminy na nazwisko Zieliński Ryszard, zam. w Chełmie Lubelskim. To był jedyny dokument, jakim przez dłuższy czas posługiwałem się.

„Zygmunt” miał zawieźć mnie na Zachód, bo było takie przekonanie, że ojciec mój jest w Armii Andersa. A ojciec był, tylko w Buzułuku prawdopodobnie zapadł na tyfus i zmarł, pochowany został na cmentarzu w Kalimech. Do Warszawy wyjechaliśmy w piatkę: „Zygmunt”, jego żona „Krystyna”, brat „Krystyny” - Mirek, „Konar” (Henryk Rezler) i ja. Ja, Mirek i „Konar” zatrzymaliśmy się na Pradze, a „Zygmunt” z „Krystyną” mieli rzekomo pojechać do Koszalina, żeby pożegnać się z rodzicami „Zygmunta”. Czy oni tam rzeczywiście mieszkali to nie wiem. Może to była lipa - nie wiadomo. Mieliśmy spotkać się w melinie na Pradze, a potem przez Jelenią Górę próbować przedostać się do Czechosłowacji i stamtąd do Niemiec. Liczyliśmy, że może „Konar” będzie mógł nam w tym pomóc, bo w Cieplicach miał kolegów z konspiracji. Jego rodzina mieszkała tam przed wojną.

Zamieszkałem z Mirkiem u jego kolegi na ul. 11 listopada, koło fabryki Schichta, natomiast „Konar” ulokował się u znajomych koło Dworca Wschodniego. Spotykaliśmy się co drugi dzień na ulicy. Minał tydzień i „Konar” na spotkaniu mówi, że jemu mieszkanie wypowiadają. „Zygmunt” z „Krystyną” nie przyjeżdżają. Dochodzimy do wniosku, że nie ma tu co siedzieć, bo może wpadli, i wtedy może być z nami krucho. Trzeba było podjąć jakąś decyzję. W końcu „Konar” decyduje, że jedzie - tak

jak wcześniej było ustalone - na Wrocław i Jelenią Górę, żeby granicę przejść górami, do Czechosłowacji. „Mirkowi” nie wypada jechać z „Konarem”, bo „Zygmunt” to jego szwagier, a ja znalazłem się na rozdrożu. Mirka znam zaledwie dwa tygodnie. Wygląda na to, że muszę jechać z „Konarem”, bo to jedyne wyjście w tej sytuacji i jedyna możliwość, by jeszcze spotkać się z ojcem. Ustaliliśmy, że zatrzymamy się w Jeleniej Górze w najbliższym dworcu hoteliku i tam czekamy na niego 10 dni. Pożegnaliśmy się z Mirkiem i „Konar” poszedł wymienić dolary (miał całą kasę: swoje i moje) na czeskie korony, bo ktoś go podpuścił, że w razie czego w Pradze bez trudności wymieni korony na dolary. Potem okazało się, że zostaliśmy z kupą makulatury.

Jeszcze tylko na punkcie zamelinowaliśmy broń, bo „Konar” nie pozwolił zabierać jej ze sobą i pojechaliśmy do Wrocławia. Tam na ul. Stalina, pod podanym nam wcześniej adresem, mieliśmy melinę, gdzie przespaliśmy się i następnego dnia pociągiem (wagony typu „Pulman”) udaliśmy się do Jeleniej Góry. Zgodnie z umową blisko dworca znaleźliśmy hotel i tu, równe 10 dni, czekaliśmy na Mirka. Ostatniego dnia postanowiliśmy już nie czekać na Mirka i wyrwać stąd, tym bardziej że pieniądze kończyły się nam. Szarówką wyruszyliśmy z Jeleniej Góry w kierunku miasteczka Krumshigel (czy to dziś Kamienny Potok czy Kamienna Góra się nazywa - nie wiem). Jechaliśmy pociągiem zupełnie na ślepo. „Konar” miał tylko mapę. W Krumshigel ponownie zatrzymaliśmy się w hotelu, gdzie mieszkali Niemcy. Dostaliśmy taki pokój, z którego drzwiami wychodziło się prosto w góry. O godz. 3 w nocy wyszliśmy z hotelu. Kierowaliśmy się prosto na Śnieżkę. Na jej szczycie było schronisko. Do drogi przez góry nie byliśmy w ogóle przygotowani.

Ubrani byliśmy w ubrania cywilne, które dostaliśmy przy demobilizacji oddziału. Ja miałem kurtkę, a na nogach pantofle, żeby ładnie po cywilnemu wyglądało. Pantofle były takie, jak to w tamtych czasach - na kartonie. „Konar” z kolei był w je-sionce i w trzewikach. Wyekwipowani więc byliśmy - nie ma co. Dokumenty też były marne: „Konar” miał jakąś „Kennkarte”, a ja papier z Urzędu Gminy na nazwisko Zieliński Ryszard. Granicę przeszliśmy bez kłopotów. Po czeskiej stronie wpako-waliśmy się w pociąg i pojechaliśmy do Pragi. Do celu doje-chaliśmy późno wieczorem, więc noc spędziliśmy na dworcu. Ru-skie kręcili się cały czas.

Jesteśmy w Pradze i czekamy na pociąg na Pilzno i dalej na Hep. Kłopotów z przejściem granicy nie powinno było być, bo jakaż tam granica była? Z ruskiej strony przeszliśmy tą gra-nicę piechotą. To był zwykły rów wykopany przez koparkę na szerokość pół metra. Szedł przez pole. I to cała strefa gra-niczna. Po ruskiej stronie czerwono, portrety Stalina, a po amerykańskiej stronie, dalej jakieś 50 - 100 m. biały szla-ban, tablica „Stop” o budka strażnika. U Ruskich poświetla-ne jak w dzień, a tu nic.

Pradze wsiedliśmy do pociągu na Pilzno, ale, gdy dojechaliśmy do stacji Beroun, to Czech nas wydał i Ruskie otoczyli wagon i zgarnęli nas. Zatrzymali niby do wyjaśnienia, dali Moskala do pilnowania i następnego dnia wsadzili w transport repa-triantów jadący pociągiem do Pragi [rozszerzyć to jeszcze, opowiadał dokładniej].

.....[uzupełnić].

No i dopiero po latach dowiedziałem się, że my tu deptaliśmy przez granicę pieszo, a „Zygmunt” ze swoją pania, oficjalnie,

„Pulmanem”, wyjechał za granicę posługując się dokumentami belgijskimi na nazwisko Jan Marojs. Wyjazd umożliwił mu „Szczęsny” z KN-u, który wówczas pracował w PCK, a latem 1945 r. odbierał od nas, z Osmoli, samochody, m.in. osobowego „Opla”, którego zdobyliśmy pod Brzezunami i „Willysa”. No i za te samochody „Szczęsny” obiecał „Zygmuntowi” lewe dokumenty dla chłopaków. Tych dokumentów żaden z nas nie zobaczył. Tak więc „Zygmunt” nie zachował się..., jako dowódca był w porządku, ale jako człowiek....

Przejechaliśmy pociągiem z Pragi jakieś 20 km. i wyskoczyliśmy z niego w biegu i dalej poszliśmy już piechotą. Dotarcie do granicy zajęło nam 2 dni. Tak drałowaliśmy, że mucha nie siada.

1 listopada 1945 byliśmy w Pilźnie i jak raz w Czechosłowacji była wymiana pieniędzy. Zdołaliśmy wymienić tylko halerze - drobniaki w monecie. „Konar” miał chyba z 16 tysięcy koron w banknotach, które stały się bezwartościowe. Zaszyte je miał w połach jesionki. Aż w gardle szczypało z żalu, że swoi (w Warszawie) potrafili tak nas wykiwać.

..... Tablica: na białym tle: Czechoslovakia, a z drugiej strony: Germany. Chyba tylko jeden tor kolejowy, szlaban graniczny i budka wartownika. I to cała granica. Jak przyszedliśmy do Pilzna, to skierowaliśmy się do IMKI [YMCA]. To były takie urzędy repatriacyjne. Z tego korzystali tylko sami handlarze, sami szmuklarze. Dostaliśmy tam przepustkę do godz. 22 i w pociąg. Tu zobaczyliśmy gazeciarzy. Przewozili na Zachód prasę. Z jedną gazetę Amerykanie płacili im po 5 dolarów. Kupowali w Czechosłowacji gazety i same gazety wieźli przez granicę. Może to byli już stali dostawcy. Nie wiem. Postanowiliśmy się trzymać ich jak najbliższej, chociaż oni nie chcieli

naszego twarzystwa. Uczepiliśmy się więc ich na odległość i pilnowaliśmy, żeby nie stracić z nimi kontaktu. Uważaliśmy, że pewnie lepiej od nas znają przejścia przez granicę. No i był już ostatni przystanek przed granicą: Hep, skąd do granicy było już tylko 4 - 6 km. Jak oni wyszli z pociągu, to my za nimi. Chociaż staraliśmy się trzymać ich, to jednak zgubiliśmy ich, bo wiedzieli przecież, że idziemy za nimi. Ale jednak przeszliśmy na niemiecką stronę. Trafiliśmy na stację: Fuerth. To było nocą. Na bocznicę stał jakiś pociąg składający się ze starych, pulmanowskich, wagonów. Wsiadliśmy. Po chwili wsiadł również jakiś Niemiec. „Konar” znał niemiecki i zaraz była dyskusja, gadka, że uciekamy z Polski itd.

Tym pociągiem dojechaliśmy do Schwandorfu. Tam pociąg skończył bieg. Przesiedliśmy się więc na pociąg do Monachium. W Monachium, na dworcu, trafiliśmy na „polusów”. To byli starzy wyjadacze, ale nie byli przyjemni, przyjaźni. Nastawieni raczej obojętnie. Widzieli w nas takich rzepów, co to się narzucają. Półśłówkami zbywali nas. Dowiedzieliśmy się jednak, że jadą z Monachium do Murnau. Zabraliśmy się więc tym samym pociągiem. W Murnau był obóz polskich oficerów (OPO Murnau). Dolne koszary były esesmańskie. To było tam, gdzie był za okupacji oflag. Jeszcze były stare druty, wszystkie obmurowania itd. Z kolei w górnych koszarach była jednostka zmotoryzowana, pancerna. I w tych garażach naszych wojaków ulokowali. Tam była 3 kompania strzelecka. Zameldowaliśmy się w Murnau i zaraz zabrali nas do żandarmerii i przekazali nas na blok kwarantanny, który mieścił się w takim garażu. Łóżka - prycze - tam powstawiali. To nazywało się blok „L”. Opiekunem był komendant tego bloku w stopniu kapitana. No i te stare pawiany - przedwojenne wojsko, co niewolę całą w obozie przesiedzieli -

tam były. Z kolei w bloku nr 4 (czy 11) mieściła się „dwójka”. Musieliśmy wypełnić jakieś tam kwestionariusze: gdzie należeliśmy, jakie akcje itd. To wszystko odbywało się w takiej formie towarzyskiej: zaprosili nas na papieroska do tego baraku (do „dwójki”) i siedząc na pryzkach prowadziliśmy rozmowę o naszych walkach itd. Zaraz po tym wzywają nas do bloku. Jakiś pułkownik przyszedł i mówi, że weryfikacje przeszliśmy pozytywnie, stopnie i odznaczenia uznane. Mam przydział do 3 kompanii strzeleckiej, która mieściła się w górnych koszarach. No, ja miałem dopiero 15 lat skończone i już w stopniu kaprala - podoficer i do kompanii strzeleckiej przydzielony. Przyszedłem do swego bloku, do kapitana odmeldować się, a ten mówi:

- A co tam będziesz pchał się, nie.

- Muszę zameldować się tam o wyznaczonej godzinie.

- A jutro zdasz. - No, jak tak kapitan powiedział, to zostałem i jutro dopiero idę. Przychodzę pod garaż, gdzie zbiórka jest. Stoi taki przedwrześniowy pawian, wysooka tyka, wygląda jak lampart w okularach (binokle miał). Widzę, że to jest dowódca, więc podchodzę, stukam obcasami pantofelków:

- Kapral Drozd melduje swoje przybycie. - Popatrzył z góry na mnie, zaskoczony, ale widzi, że postawa przepisowa, meldunek przepisowy i pyta się ostro:

- Dlaczego wczoraj nie zameldowaliście się. - Coś odpowiedziałem, nie pamiętam już co, w każdym bądź razie coś cygańnię.

- No, niestety, etaty podoficerskie są zajęte. - A mnie to nic nie obchodzi.

- A strzeleckie są?

- Są.

- No, to nie ma sprawy. - Ważne że do kompanii strzeleckiej wchodzę. Gdybym dostał etat podoficerski, to kto by dzieciaka słuchał.

Kompania była raczej młoda: roczniki młode, była taka bardziej dobrana, bo były kompanie, gdzie było dużo tych weteranów z 1939 r., to już dziadkowie byli, a tu raczej młodzież. Dużo powstańców z Powstania Warszawskiego było. No ja byłem najmłodszy w kompanii. Oprócz mnie był jeszcze jeden taki młody: Chojnacki. Imienia już nie pamiętam. Razem z ojcem wywieźli go do Niemiec [na roboty]. Krótco był i szybko ulotnił się gdzieś tam do taty.

28 listopada 1945 r. już objęliśmy (moja kompania) służbę w Altenstadt. Nasze koszary były na lotnisku. Mieszkaliśmy w barakach po lotnikach. Zaczęło się takie cygańskie życie. Takie łóżka polowe były wstawione.

Tu zastało nas Boże Narodzenie.

Amerykanie przeznaczyci dla naszych kompanii nowe sorty mundurowe: trzewiki itd. Nasze „pawiany” - kwatermistrzostwo, wykombinowali, że po co dawać im (czyli nam) to, skoro do spalenia idą olbrzymie hałdy używanych sortów mundurowych, np. buty w workach, powiązane sznurowadłami. No to wzięli te używane rzeczy od Amerykanów, a nowe trzymali pod zamknięciem, w razie mobilizacji, na wypadek wojny, żeby wojsko ubrać. Jak w czerwcu 1946 r. MPi likwidowało ten obóz, to była gadka, że podobno gdzieś na poddaszu znaleźli 13 tysięcy nowiutkich trzewików. Tak, że nam dawali stare rupiecie, a nowe trzymali. Szef mundurowy stawał na lorze, Franek otwierał worek, sypał na ziemię buty i mogłeś wybierać sobie. Nieraz był sznurowane nie do pary, tylko jak leci. Spodnie połatanne były

na maszynie. W takich więc na początku chodziliśmy. No, ale potem za swoje pieniądze kupowaliśmy umundurowanie.

W kompaniach wartowniczych mieliśmy - jak normalni żołnierze - kategorię A. Jako że pracowaliśmy na rzecz armii amerykańskiej, więc przyjęto nas na warunkach amerykańskich. Musieliśmy jednak przecieżyć zarobić na tych „pawianów”, co to nigdzie nie robili, więc zrobili nam kategorię X, i wszystkie PX-y, czyli papierosy, czekolady i inne takie duperełki to szły dla nas nie bezpośrednio z magazynu amerykańskiego, ale przez ręce tych „pawianów”. W rezultacie jak kategoria A przewidywała 2 kartony papierosów (400 sztuk) na dwa tygodnie, to oni powiedzieli, że na dwa tygodnie wystarczy nam 280 sztuk papierosów. Na dzień wychodziła paczka. Tak, że z każdego żołnierza „pawiany” mieli 120 sztuk papierosów, więc jeździli do Szwajcarii i handlowali nimi i różnymi rzeczami.

Służbę wartowniczą pełniliśmy w kilku obozach. Były tam m.in. obóz dla członków SA, dla bonzów partyjnych, który miał i żeński oddział. Staliśmy na posterunkach zewnętrznych, na wieżyczkach. W nocy, dla wzmocnienia, Amerykanin i Polak na wieżyczce, a w dzień już my sami. Z tych Amerykanów nie było żadnej pociechy. przychodzi i mówi, że „Fucken Polack”, że on jest zmęczony, bierze płaszcz, kładzie na podłodze przy piecyku, kładzie się i śpi i nic go nie obchodzi. Bab do cholery, bo tych szwabek, to się kopcilo... .

Dywizja miała kluby telewizyjne w okolicznych miejscowościach. To były takie kasyna, tyle że u nich (Amerykanów), nazywały się kluby. Przychodzisz, piwo dostaniesz, muzyka jest, orkiestra, babki, wódka. No to nasi handlowali z nimi na całego. Amerykanie, szczególnie frontowcy, broni mieli po nazbierane różnej, bo mają tę żyłkę kolekcjonerską. Stoimy na

posterunku, na wieżyczce, przychodzi Amerykanin i pokazując na pistolet mówi:

- Polak, e pistol, how much?

- Ein hundert fynfzig mark (150) okupacyjnych - odpowiadam. Umawiamy się, że po warcie pojedziemy do niego. Przyjeżdżamy, a on wyciąga normalnie amerykańskiego „Colta”. Nie kupiłem go, bo magazynku nie miał.

150 okupacyjnych marek odpowiadało 15 dolarom, a mój żołd wynosił miesięcznie 180 marek. Co prawda piwo było za darmo, ale dawało się tę markę i 50 fenigów za obsługę, a reszta była gratis: papierosy, mydło, pasta. Tak, że pieniędzy wystarczyło, ale to było takie życie bez jutra, tak jak na walizce, na dworcu.

Inni to ponakupowali tej broni, że ojej. Ja np. kupiłem „belgijkę”, efenkę. Dopiero później obejrzałem się, że to nie jest „siódemka”, tylko krótka „dziewątka”. No, to był taki handel spod poły (płaszcz), ale że się trudniłem zbieraniem uzbrojenia, to u mnie był i kaliber 6,35 i 7,65 i „dziewiątka”, więc dobrałem sobie. Z kolei chłopaki ponakupowali sobie. Mieli np. takie bębnekowe rewolwery, damskie, „lugry”. Postrzelali się, poranili - daj, pokaż jak to działa - powiedział jeden do drugiego, nacisnął przypadkowo spust i już, postrzelił w szyję. No jaja były.

..... I te samochody wszystkie zostawili. No i te marudery, łaziki, obszabrowali to, co przydatne było. Pod samochodem amunicja rozsypana była, a na samochodzie w skrzynkach była. To co było rozsypane pod samochodem, to nikt nie podejmował, tylko to co w skrzynkach to zabierali. To Amerykanów robota taka. No to jak widziałem amunicję „siódemka”, „szóstka” [co to za kaliber?].

Był czas, mogłem łązić. Tam rzeka płynęła Lech. 3 km w dół leżało Schongau, gdzie było kino. Wystarczyło tylko zejść w dół. Rzeka przepływała przez jakieś wapienne skały, była więc biała jak mleko. Nad tą rzeką niemiecka jednostka się rozbrajała. To w wodzie, na wielkich stosach, leżały karabiny, pasy wojskowe. Służba była do godz. 16. O tej porze była kolacja i aż do godz. 22-ej byłem wolny. No, ale dziadki chcieli zrobić taki reżim jak to przed wojną było: grafik jest, z którego wynika kiedy masz służbę, a kiedy wolne. Wychodzę na miasto, to służbowy, który siedzi przy okienku, wpisuje mnie: godzinę wyjścia i godzinę powrotu, żeby mieć kontrolę, gdzie kto był itp. No to jaja sobie robili wszyscy. Służbowy jeszcze nie znał wszystkich.

- Nazwisko - pyta się.

- Dopierała Franciszek - powiem i idę na miasto. A jak się wracało, to zamiast iść przez wejście główne, to od kuchni, albo oknem wlaź. A oni [służbowi?] chodzą po koszarach i szukają Dopierały, bo Dopierała nie wrócił z przepustki. Chodzą po pokojach i sprawdzają stan. Stan zgadza się, a Dopierały nie ma. W końcu zarzucili to pisanie o której i gdzie ktoś wychodzi.

Dowódców plutonów było trzech: Gajewski, Czupryn i Czekański. No i ja zamieszkałem razem z nimi. Zostałem wkrótce mianowany gońcem dowódcy kompanii, jako podoficer. No to było tak, że szef jak grafik wart sporządzał, to mówił do mnie:

- Rajmundek, słycaj, wstawiłem cię dzisiaj w grafik.

- Dooobrze, no żeby się nie nudziło przynajmniej. - A tak to nie było co robić. No to ludzie na głowach stawali. Na lotnisko poszli i z działek samolotowych zaczęli strzelać. Bo tam,

na przestrzeni jakiegoś półtora kilometra, przy torach, stały samoloty niemieckie. Były w dobrym stanie. Miały jakieś defekty: a to owiewka zdjęta, czy co innego, ale działa były. No to poszli i amunicji nabrali a potem do samolotu. Działko stoi. Włażę do kabiny. Kabina dwumiejscowa, bo miejsce jest dla tylnego i przedniego strzelca. Siadam z przodu, repetuję, zamek odryglowuję, biorę nabój, patykiem wsadzam do komory naboju i naciskam spust. Strzał i wybuch, a nasi oficerowie już latają po obozie i szukają: kto to kanonadę robi.

To samo było w hangarach na lotnisku. Stały tam samoloty. Nasi zabierali stamtąd działa i przenosili je na skarpe, po cztery - pięć. Poustawiali je, sznurkami powiazali.... [dokończyć]. Mnie jak dowódca kompanii złapał, to musiałem z nimi jeździć z młotkiem i niszczyć nim zamki i łańcuchy.

W 1946 r. Warszawa zaprotestowała, że chodzimy w mundurach koloru khaki. No to Amerykanie odpowiedzieli, że to nie są jakieś oddziały wojskowe, tylko jednostki pomocnicze, które pilnują obozów. No i wtedy wszystkie mundury pomalowano na granatowo. Wszystkie sorty, jakie były, do farbiarni szły. Nawet kaski były na granatowo malowane.

W tych naszych oddziałach było dużo Polaków z amerykańskiej armii., bo przysłali ich z tej armii. Jakimś sposobem dostali się najpierw do armii amerykańskiej [jako obywatele amerykańscy?], nawet po angielsku nie umieli dobrze mówić, no a potem przysłali ich do nas, do kompanii wartowniczych. Dzisiaj to podejrzewam, że może przeszkoli ich jako ucho i oko.

Jak przefarbowali nam umundurowanie, to zmieniono również nazwę naszej jednostki. Już nie nazywaliśmy się: Polish Guard Company, ale Polish Labor Company, czyli polskie kompanie pracy, zmieniając tym samym charakter jednostki na bardziej

cywilny. Oczywiście, podlegaliśmy amerykańskiemu dowództwu. Mieliśmy legitymacje od Amerykanów, ale także mieliśmy legitymacje Polskich Sił Zbrojnych. Były trzyczęściowe. Tam też mieliśmy wpisane dane. Tak, że niby robotnik u Amerykanów, a tu z kolei żołnierz Polskich Sił Zbrojnych. Wszystko to było jakoś tak w proszku. Ci nasi bonzowie na czas grali, na przetrwanie, dlatego starali się trzymać nas w koszarach, żeby w razie konfliktu mieć nas pod ręką.

Najbliższe polskie oddziały regularne stały w strefie brytyjskiej. Nie jeździłem tam, bo za krótko tu byłem, a zresztą nie widziałem celu. Po co?

Miałem 16 lat. Takich chłopców w moim wieku w oddziałach wartowniczych było więcej. Czy kto się mną zainteresował. Nikt. A przecież w 2 korpusie były dzieciaki, których posyłano do szkół. Potem w Anglii zostali. Nami nikt się nie interesował. Po prostu nie mieli czasu, funduszków, chęci. Przecież ten młody narybek, który tam został, to można się było nimi zainteresować. Gdyby mieli głowę te Raczkiewiczze i te inne palanty to mogli zaopiekować się młodzieżą z Niemiec, a nie tylko tymi z Rosji.

Kto był tylko bardziej przedsiębiorczy, to brał się za handel. Jeden handlował zapałkami, drugi papierosami, trzeci wódka. Powoli to spływało do kraju. Tu było dużo ludzi wywiezionych do Niemiec na roboty, byli w kompaniach wartowniczych. To potem taki często wracał do swego bauera. Jeździł w odwiedzin, bo przecież nie wszyscy Niemcy to byli dranie. Często takiego Polaka traktowali jak członka rodziny. Swoich członków rodziny mieli po frontach porzrzucanych, więc Polacy pomagali trzymać im gospodarke. Młodzi zobaczyli, że w tych naszych kompaniach nie ma nic, nic na nich nie czeka, a

tu córka bauera jest, on (Polak) pracował na tej gospodarce, zna ją więc idzie na tą gospodarke. Żeni się z tą dziewczyną i zostaje tam. Tak zrobiła cała masa Polaków. Szczególnie wi- dać to było w Bawarii, bo to przecież kraj katolicki. Lepiej tu się odnosili do Polaków.

Ja też poznałem tam dziewczynę. Nazywała się Hani Midus. Mieszkała w Birgland am Lech, niedaleko od naszego obozu. Do- brze było, bo ona po czesku mówiła - jej rodzice uciekli z czeskich sudetów. Mieszkali u kogoś kątem. Chleb był na kart- ki, więc dostawali 2 funty chleba na tydzień, na osobę. Tak, że wtedy ciężko ludzie mieli. No to pomagałem im jak tylko mogłem. Jak przychodziła do mnie, no to przynajmniej najadła się.

Albo tak było. Siedze w piwiarni i papierosa palę. Obok sie- dzą Niemcy. Skończyłem palić i przypetowałem papierosa, to Niemka, żeby jej druga nie ubiegła, podsunęła szybko popiel- niczkę, raz i zgarneła peta do popielniczki, i do torebki. Nasi to jakoś z fasonem „kipy” zbierali, a Niemcy to nie ce- regielili się. Nasz to najpierw podszedł do „kipa”, stanął, schylił się i niby zawiązuje sznurowadło, rozejrzy się czy nikt nie patrzy w jego stronę, chap za „kipa” i już ma go w kieszeni.

Kino w Schongau zarekwirowane było na potrzeby wojska. Osoba cywilna mogła wejść tylko z wojskowym. No i jak to zwykle wojskowi stoja pod kinem i palą papierosy, bo w kinie nie ma palarni. Obok są też trzej zbieracze „petów” i obserwują każ- dego palacego. Razem z nimi inwalida o kulach. Ty papierosa podnosisz do ust, a on wzrokiem podąża za ruchem twojej ręki. Ty opuszczasz rękę i on opuszcza głowę. Rzucił ktoś papiero- sa, a ten hyc rzuca się za papierosem. A tu jeszcze dzieciaki

zbiegają się, bo dla taty zbierają. No to ten inwalida za „lage” i tłucze dzieciaki po grzbietach raz, raz i cap za „kipa”. Oczywiście dawaliśmy im też i papierosy, ale przeicież to musiałby być olbrzymi magazyn, żeby ich wszystkich obdzielić.

Kucharze kradli na całego. Kompania liczyła 250 ludzi, więc dziennie szło jakieś 25 kg kawy. Kto wiec by zauważył, jeżeli kilka kilo dziennie kucharz wyniósł za bramę. Paczka papierosów na „czarnym rynku” kosztowała 120 Raichsmarek (12 okupacyjnych marek). A wszyscy, każdy kto palił i nie palił, to mieli przydział papierosów. No to ten, który sprzedawał, to miał kupę forsy. Ale wielu było takie co przepiło to. Inni z kolei szli na wieś, kupowali m.in. jajka, śmietanę i o godz. 20, jak szedł spać to jeszcze sobie jajecznicę usmażył. Różnie to było.

W kompanii tej wytrzymałem do lipca, czyli 10 miesięcy.

O godz. 7-ej było śniadanie, o 11-ej obiad i o 16-ej kolacja, na którą był zwykle chleb, coś do chleba i kawa. U nas to z menażką chodziło się na obiad. Każdy miał swoją porcję, a tam każdy, jak świnia, z tacą chodził. Taka z przegródkami była. No i nałoży jemu kucharz łyżkę tego, łyżkę tego. Czasami fasole „Jasiek” ugotują taką, że łyżka stoi, konserwę do tego i starczy. Najedzą się tego, a rano kawa, chleb biały z rodzynkami i serdelki z puszki. Bądź mądry i jedz to. Albo dadzą koninę, z rodzynkami gotowaną. Na słodko. No to, kto to dał rady jeść. Kartofle to z puszki były - w kostkę krojone, suszone. To nagotują tego, to takie to było, że „ani w ucho, ani w oko”. Dużo makaronu z pomidorami było. Pikantne, mięso

z puszki było, obsmażone w jaku. Tak, że żarcie tam było. No, człowiek do tej pory kawy nie pił, a tu prawdziwa kawa codziennie, to jak noc przychodzi, to i spać się nie chce.

Wszystko to było takie bez planu, bez przyszłości. A ludzie żyli z dnia na dzień i czekali tej wojny. Słuchało się radia, a tu Radio Warszawa nadaje, że oddziały bezpieczeństwa pędzą ją, a to bandę „Młota”, a to „Wiktora”, no to co ja tutaj robię? - zacząłem zadawać sobie pytanie. Zabieram monele i jedziemy do Polski.

Przy zwalnianiu się ze służby nie robiono mi kłopotów. Najpierw do Murnau, a potem do Monachium. Przywieźli do Monachium. Tam kompletowano transporty repatriantów.

Z „Konarem”

28 listopada 1945 r. objęliśmy służbę.

W początkach grudnia 1947 r. „Ryk” nawiązał kontakt z „Młotem”. Doszło do spotkania i „Młot” zezwolił mu na tworzenie siatki. „Ryk” musiał niemal błagać go o zgodę no i teraz ciekawe było jak on („Ryk”) się z tego wywiąże. Jak to po Bożym Narodzeniu rozstaliśmy się. „Młot” razem z żandarmerią „Lecha” poszedł w swoje strony, a „Ryk” w swoje.

W 1948 r. Kwaterowaliśmy na kolonii Puchały Stare. Na wieczór miało być dla nas przygotowane zaopatrzenie: pasta do butów, do zębów, lekarstwa. Miał to kupić za zostawione przez nas pieniądze stary Szafran, który mieszkał obok na kolonii - prawosławny Białorusin, który pomagał nam. To był bogaty chazaj. Uważaliśmy, że już jak mamy u kogoś kwaterować, to lepiej iść do kacapa.

Jakie 1,5-2 km. dalej, po sąsiedzku, mieszkała Maria Ryczkowska. Tu często kwaterowaliśmy. To była bardzo solidna, samotna kobieta.

No i „Lech” wziął mnie i „Tygrysa” i przychodzimy na kolonię do Szafranów. O mały włos a wpakowalibyśmy się prosto w ręce wojska. Podeszliśmy olszynką, wychodzimy z lasku w krzewy i widzę na podwórzu Szafrana jak ostatnie blaski zachodzącego słońca odbijają się krwawo w szybach. Uspokojeni podeszliśmy jeszcze bliżej do zabudowań, gdy nagle zorientowałem się, że to nie odblask słońca widzieliśmy:

- Czekałcie chwileczkę - mówię zaniepokojony - to przecież nie jest słońce. Spójrzcie - tam na podwórzu kuchnia polowa stoi. - Obok była studnia i koryto. Drzwiczki paleniska są otwarte, widać jak drzewo pali się i właśnie ten ogień wzięliśmy za odblask słonecznych promieni. Dopiero wtedy w tył zwrot i pomału tą samą drogą jaką przyszliśmy wycofaliśmy się. Nie wiem jak to się stało, że nie natknęliśmy się ich warty. Stąd wniosek, że to Szafran sprowadził wojsko, bo to przecież nie jest zbieg okoliczności. Wiedział, że 30-go mamy przyjść do niego po zaopatrzenie. Jego krewniak, po drugiej stronie Nurca, w Mariawiźnie, pod Kiersnowem, młyn miał i tam mieszkał. To on był w porządku.

Jak wyszliśmy z tej kolonii, to okazało się, że rzucona jest obława. Tylko mnie dziwi bardzo, dlaczego po sąsiednich koloniach nie kwaterowali, tylko u Szafrana? No, było takie przekonanie, że nie wywiązał się z zobowiązania i sprowadził ich dla ochrony.

Pomaszerowaliśmy lasami rudzkimi nad Bug. Droga do rzeki zajęła nam 2 dni.

Jak pani Grabowska² dała nam wywiad o poczcie z Siemiatycz (samochód miał przewozić pieniądze), to jak my cało z tego wyszli, to ja się dziwię. To był marzec 1948 r. W biały dzień, zamiast samochodu poczty zobaczyliśmy ciężarówkę z wojskiem. O tej godzinie, o której powinna być poczta. Wyskoczyliśmy na szosę go złapać, a on na „kite” i na stację. My za nim na stację, wybiegliśmy z za zakrętu [dokładniej - wyjechali autem z za zakrętu?], a na stacji 4 wagony wojska wyładowuje się. W takie przypadki to ja nie wierzę. Ruch - tak jak w mrowisku. Jedna grupa idzie na górę, na magazyn, gdzie zajmuje stanowiska, a druga za nią gna w dół, na Homoty - Pawłowicze, psia kość, żeby nam od Mielnika odciąć most [drogę do mostu]. Przydusili nas do ziemi [dokładniej opisać - która grupa, w którym miejscu - na stacji?], a my na otwartym terenie. Jest gdzieś godzina 11 w dzień. Ziemia tylko lekko zmarznięta, więc zaraz byliśmy po kolana w błocie [podać opis walki]. A oni grzeją do nas z góry. Jak oni nas nie wytłukli, to nie wiem. Już nie było czasu sprawdzać jej, bo już w maju „Lech” zginął, a 13 kwietnia wrywaliśmy stąd gdzie pieprz rośnie [co się stało tego dnia]. Przecież wojska było tu napakowane wszędzie. W Siemiatyczach był przecież sztab międzywojewódzki. W Boćkach stali, w Siemiatyczach stali.

Jak było ujawnienie w 1947 r. to nie dostaliśmy żadnych dokumentów z organizacji. Nic nie załatwili nam. Byliśmy odizolowani. Trzeba powiedzieć prawdę w oczy: do tej pory każdy mil-

²Została aresztowana i skazana na 6 lat, chociaż to na pewno ona wtedy nas wystawiła [Mikrus]

czy, bo uważa to za patriotyzm, bo przecież były szwadrony, oddziały itd., to jakiś porucznik, to major dowodził, a tak naprawdę, to było kupa gówna. To wszystko chyliło się już ku opadkowi, więc tylko ratowaliśmy swoje dupy. Byliśmy więc pozbawieni dokumentów, pieniędzy, kwater, wszystkiego. Byliśmy spisani na straty. Żeby chociaż wytłumaczyli chłopakom co należy mówić, jak się zachowywać na wypadek wpadki. Nic, nic takiego nie było. Więc jak aresztowali którego, to śpiewał wszystko.

Jest maj 1948 r. Przechodzimy na Kamieńczyk, na Sterdyń. Wszystkie łódki na Bugu są pozabierane i trzymane w kilku miejscach, pilnowane przez KBW, tak więc środki przeprawowe były pod ich nadzorem. Na szczęście w Głodach mieliśmy ukrytą łódź, jakąś krypę i tą krypą przerzucili nas na drugą stronę. Przeszliśmy na Kamieńczyk, na kolonie. Było nas wtedy 11 ludzi - patrol "Lecha" z oddziału "Młota".

Nad ranem wpakowaliśmy się na zasadzkę. Jakoś wyszliśmy z niej. Dzień przetrzymaliśmy w podmokłym lesie przy torach kolejowych: Sokołów Podlaski - Małkinia. Potem poszliśmy na Wrotnów - Stoczek Węgrowski. Zjedliśmy kolację, wyszliśmy z kolonii - wpakowaliśmy się na drugą zasadzkę. Gwałtowna strzelanina. Tu już poszliśmy w rozsypkę. Odbiłem się od oddziału. Rano byłem już pod Stoczkiem, we wsi Grabiny, u Witkowskich. To byli tacy ludzie, którzy sympatyzowali z nami. Byli tam jeszcze też tacy sami Klimiukowie. Oni i Witkowscy, to były tu nasze główne punkty oparcia. U Witkowskich przebrałem się w cywilne ubranie, przenocowałem i przyjechałem pod Ogrodniki k. Ostrówka Węgrowskiego. Jako stary partyzant,

wiedziałem, że jest to jedno z miejsc, gdzie w razie rozproszenia szwadronu mogę go znaleźć.

Chociaż "Lech" nie mówił nigdy, gdzie jest wyznaczony punkt zbiórki oddziału ["Młota"] w razie rozbicia, ale po tylu latach w konspiracji, to już nauczyłem się gdzie szukać takiego miejsca. W godzinę po moim przybyciu pod Ogrodniki, pojawiło się pełno wojska. Znalazłem się w środku obławy. Okazało się, że niedługo przedtem była potyczka: "Lech" i "Tygrys" już zabici [5.05.48]. Póki co - nic o tym nie wiem.

Wpakowałem się na jedną kolonię. Ludzie mnie poznali, ale słyszeli strzelaninę, widzieli kupy wojska, wiedzą co ja za jeden i teraz pytają się: Co ja tu robię - ale widzą, że ja też wystraszony jestem. Przyglądali się nieufnie, ale w końcu kobieta wyniosła mleka, kubek kawy zbożowej i chleba - nakarmili mnie. Ja z tych nerwów, to pojadłem.

Przy drodze od przejazdu kolejowego, jak raz, kartofle sadzili. Widzę, że stamtąd "Ludowe Wojsko" wraca na furmankach. Kilku ludzi przyszło i mówi, że dwóch naszych zabitych jest. Opisali ich wygląd: jeden ma bok wyrwany, opisali buty. No to ja na rower (pożyczyłem) i z powrotem do Ogrodnik, Grabiny.

U Witkowskich zastanawiam się: jakie mam wyjście? Trzeba stąd wrywać. Zostawiłem długą broń ("Derkacza" miałem"). Biorę tylko pistolet i granat. Przebieram się za członka SP. Bluza z SP. Na nogach trzewiki. Spodnie też mnie pożyczili. Zięć Witkowskiego wyprowadził mnie za wieś. Idę na stację do Sadownego - to zaraz obok. Niebo już zaczyna szarzeć - robi się pół świt. Jest trzecia rano. Muszę zdążyć na pociąg Białystok - Warszawa, bo chcę dostać się do Warszawy. Tam mam kolegów. Zatrzymam się tam, a potem okreśną drogą przez Sokołów Podlaski, przyjadę na Drohiczyn, na punkt kontaktowy "Ryka" (który

jest tu gdzieś w terenie) i przez niego skontaktuję się z "Młotem". Nie wiem tylko co dzieje się z "Bartoszem", bo w styczniu 48 r. po akcji na radiostację rozstaliśmy się. Nie mam jednak ani dokumentów, ani pieniędzy. Byłem goły i bosy. Musiałem przejść przez wieś Mrozowo-Wola. Raptem widzę, że z przodu błysnęło światło. No kurza noga - pomyślałem sobie - musi być zasadzka albo wojsko idzie. Jeżeli pójdę gdzieś w pole, żeby ominąć wieś, to tym prędzej mogę wpakować się na jakąś zasadzkę, bo jeżeli tu kwaterują, albo coś takiego, to dookoła wystawione są czujki. Zresztą, dookoła jest pole. Las zaczyna się dopiero przy torach, spory kawałek przede mną. Przeżegnałem się więc i idę prosto przez wieś.

Dochodzę do wsi i przed skrzyżowaniem słyszę nagle:

- Stój! Kto idzie!?

- Ja.

- Jaki ja!? - podchodzą, latarką obświecili mnie. Jest ich dwóch: jeden w mundurze, drugi po cywilnemu - widać, że z UB.

- Nazwisko!

- Klimiuk Jan.

- Skąd?

- Wieś Ogrodniki - Wiedziałem, że w Ogrodnikach mieszka gospodarz o takim nazwisku, tak więc wszystko się zgadzało. Żeby oni byli mądrzejsi, to już wtedy mieliby mnie, bo wieś Ogrodniki była z drugiej strony, a ja szedłem od Stoczka, a nie od Ostrówka, jak szedłbym, gdybym mieszkał w Ogrodnikach, więc już po tym mogliby poznać, że kręcę.

- Dokumenty!

- Ja za młody jestem, żeby mieć dokumenty - odpowiedziałem.

- Ile lat macie?

- Szesnaście.

- Gdzie idziecie?
- Na stację, do Sadownego. Do Warszawy mam jechać.
- A po co do Warszawy? - zapytał podejrzliwie ten w cywilnym ubraniu.
- Do ojca. Ojciec na tramwajach tam jeździ.
- Co w teczce masz?
- O - pokazuje - mleko, jajka, masło. - Nie zwracają uwagi na to. Poszli za rów, pod krzaki, wyjęli jakieś papiery - widocznie listę - świeca po nich latarką i szukają nazwiska Klimiuk, czy był przeznaczony do aresztowania. A ja sobie stoję na drodze i widzę, że rowy przy skrzyżowaniu dróg zapchane po brzegi żołdatami z KBW. No nic, stoję sobie - pięć minut, dziesięć - nikt nie zwraca na mnie uwagi. W końcu mówię:
- Panowie, mnie pociąg ucieknie. Czy ja wolny jestem, czy nie?
- Pytaj się porucznika - mówi któryś żołdat i wskazuje mi, że gdzieś za moimi plecami powinien być. No to ja odwracam się i nikogo nie widząc mówię w ciemność:
- Panie poruczniku, co ja mam dalej robić, bo pociąg mnie ucieknie? - Chwilę się namyślił i pyta się:
- O której odchodzi?
- Czwarta dwadzieścia. - Miał chyba zegarek, bo znowu chwila milczenia, i w końcu zgadza się:
- Dobrze, to idźcie - No to ja, jak na skrzydłach zaleciałem do Sadownego, w pociąg i przyjechałem do Warszawy. Na Mokotowie mieszkał mój kolega - Mietek Maleszko, warszawianin, którego poznałem w Niemczech, gdy służyłem w (X.45-IX.46) "Polish Guard Company" (Polskie Kompanie Wartownicze) w Górnej Bawarii, Altenstadt (kompania nr 4093).

Po niedługim czasie pojechałem w okolice Drohiczyna i na hor-
nowskich koloniach, tak jak przewidywałem, skontaktowałem się
z "Rykiem". "Ryk" mówi:

- Słuchaj. Byłeś świadkiem, jak "Młot" zgodził się, żebym
zorganizował "siatkę". Tu ludzie raczej "zezem" patrzy,
krzywią się na mnie, nie bardzo mi ufają, a jak ty będziesz
ze mną, to wiedzą coś ty za jeden, bo pamiętają ciebie z tam-
tych lat [lato 1945 - V Brygada "Łupaszki"], będę więc miał
jakieś "plecy" w ten sposób i łatwiej mi pójdzie robota. Ty
już nigdzie nie idź, zostań ze mną, a ze "Starym" [kpt.
"Młot", d-ca VI Wileńskiej Brygady AK] i tak z czasem nawią-
żemy kontakt [z nowymi ludźmi]. - Zgodziłem się i zostałem z
"Rykiem". [Nie wiedzieliśmy, że w czerwcu, pod wsią Rusków,
k. Tokar [pod Platerowem] uciekł z oddziału "Bartosza"
"Migdał" i zgłosił się na UB w Platerowie. Sprowadził KBW z
Sokołowa Podlaskiego. Otaczają "Bartosza", ale szwadron -
choć rozbity - jednak wychodzi z kotła. "Młot" z kilkoma
ludźmi ("Radio", "Wichura", "Pomidor" i "Lampart" [po śmierci
"Młota" w 49 r. "Lampart" przeszedł do oddziału "Huzara", z
którym został aresztowany w X.52 i skazany na karę śmierci -
wyrok wyk.] też jakoś się wrywa. Wkrótce jednak "Bartosz" z
patrolem został otoczony na kolonii Krawce. Wydali ich chło-
pi. "Bartosz" i "Wichura" zginęli, a "Puszkina" [Marian Giery-
ło] dostał się do niewoli. Spotkałem go we Wronkach. Zabrali
mnie z mojej celi i dali do tej, w której siedział „Puszkina”,
a przecież tam nikt z nas nigdy nie spotkał się z drugim ko-
legą z oddziału. Od „Łupaszki” siedziało przecież kupa ludzi
i z nikim się nie spotkałem. „Puszkina” mówił, że dostał doży-
wocie, a w rzeczywistości dostał tylko 12 lat - coś kręcił.

Potem w celi przyznał mi się, że podpisał z nimi współpracę. Przedtem spotkałem jeszcze tylko „Koguta” Szmurłę - też był konfidentem - więc byłem już podejrzliwy wobec „Puszkina” i spytałem go:

- Słuchaj Maniuś, czy ty przypadkiem..., czy nie dzięki tobie przesadzili mnie do ciebie? - I wtedy przyznał się.

- Maniuś, jak podpisałeś współpracę, to bardzo źle zrobiłeś. Dostaniesz w dupę ale wypisz się z tego kurestwa. Bo, słuchaj chłopie, wyjdiesz na wolność jak Bóg da, to cię kurza noga, psia kość kamieniami albo kołkiem zatłuka. Wycofuj się z tego jak tylko możesz. Będziesz musiał ofiarę ponieść, to nieuniknione... . Teraz on nie przyznaje się do tego, że był razem z „Bartoszem”. A przecież jak opowiadał te zdarzenie, kiedy oni (szwadron „Bartosza”) zostali otoczeni, że musiał być tego świadkiem, jeżeli podawał takie szczegóły. Już nie żyje. Samochód go zabił. Może z zemsty ludzie go utłukli i upozorowali wypadek? Bo rodzina nie chce nic na ten temat powiedzieć.

]

W początkach czerwca wróciliśmy obaj spod Brańska i Łubina, gdzie właśnie zapoznawałem go z terenem, czyli ze znanymi mi ludźmi, przyszłymi ewentualnymi „siatkowcami”. Gdzieś dziesiątego lub jedenastego zatrzymaliśmy się na kolonii Hornowszczyzna, u ojca Teodozji Krasnodębskiej, naszego zaufanego „siatkarza”. Rano przybiegł siostrzeniec Krasnodębskiej, mały Witek, i mówi:

- „Mikrus” wstań, „Węgorz” jest u ciotki. Masz przyjść [Członek patrolu „Lecha”, szukał właśnie kontaktu po zabiciu dowódcy przez UB, w owym czasie był już konfidentem UB]. - Ubrałem się i wyszedłem na podwórze. Krasnodębska miała gospodarstwo obok swego ojca. Również na kolonii. Poznałem

ja w 1945 r., gdy kwaterowaliśmy u niej z 1 szwadronem „Zygmunta”. Postawili do niej drużynę na kwaterę. No i przy-
leciała do brata (Janek), który był u nas w oddziale, na
skargę. Janek to był złodziej leśny. Kradł drzewo. Tracze
tarli, robili bele a on robił z nich krokwie na chlewy czy co
innego. Sprzedał i robił spichrz. Sprzedał to zaraz robił
krokwie na stodołę. No i pamiętam, że Krasnodębska przylecia-
ła z jakimiś pretensjami, jaka to ona ważna, bo „Ryk” do niej
zachodzi itd. No i potem, jak „Żwirko” jesienia 1945 r. się
został w terenie, to tutaj się kręcili. Jak potrzebowali
„Ryka” ściągnąć, to Krasnodębska szła do Ignacowej czy Stefa-
nowej (zawsze mieszam te imiona), która była gospodynią w Lu-
biejkach u „Ryka” i Gienka ściągali. Jednak Krasnodębska w
organizacji nie była, tylko sympatyczka, ale jak otworzyła
gębę, to końca nie było widać, kurwa mać. Z domu była Olędz-
ka. Miała córkę Irkę. Jak przyszedłem na ten teren po rozbi-
ciu, to dała ubranie po mężu. Chodziłem trochę w nim. No, ale
córka jej nie pokazała się ani razu, jak u nich byłem, tak
jej pilnowała. Nie wiem, bała się mnie czy co? Teodozja miała
siostrę, która była wywieziona (na Syberię?), mąż też był wy-
wieziony, potem był w Anglii. Miała też syna. Oboje, syn i
córka byli potem w Siemiatyczach.

Poszedłem więc tam. „Węgorz” stał przy studni. Przywitaliśmy
się, zamieniliśmy parę zdań i po chwili Krasnodębska i zapro-
siła nas do środka:

- Chodźcie do mieszkania, żeby ludzie nie widzieli was. Zaraz
zrobię śniadanie - i poszła do stodoły wydoić krowę.

Weszliśmy więc do i usiedliśmy na przeciwko siebie przy sto-
le, który stał w rogu przy oknie.

- Wczoraj zgłosiło się trzech chłopaków [z rozbitego patrolu ppor. "Lecha"]: "Jaskółka", "Wilk" i "Szarak". Pod swoją wieś [Mierzvice] doprowadził ich "Ostoja". Wróca tu po południu, poszli tylko ukryć broń (Nie powiedzieli mi, że były to trzy erkaemy). Ty jesteś czwarty. A co z resztą? Brakuje już tylko "Kuby". Jak ty się uratowałeś? - pytam się go.

"Węgorz" zaczął opowiadać, że jak ich KBW otoczyło koło Mierzvic, gdy zaczęła się strzelanina, wpadł prosto na jakiegoś oficera, wygarnął mu prosto w pierś serię i ma dzięki temu zdobycznego "Visa" i mapnik. A ja jak dobry tuman słucham tej bajki. [Nazywał się Plewko Antoni. Nazwisko Karpiński Henryk nadało mu UB w Siemiatyczach, to nie jest jego prawdziwe nazwisko. To był wilnian, wywieziony ze swym ojcem Henrykiem do Niemiec na roboty. Gdy wrócił do kraju po wojnie wstąpił do UB w Pabianicach. Znalazł się w plutonie wartowniczym. Latem 1945 r. oddział "Szarego" rozpieprzył Pabianice i rzekomo wzięli go do oddziału. Jak on potem znalazł się w białostockiem - diabli wiedzą. Wiadomo tylko, że "Lufa" go przyprowadził i tak trafił do V Brygady "Łupaszk". 31 maja 48 r. zgłosił się do KBW w Sarnakach. O tym jednak dowiedziałem się kilkadziesiąt lat później].

W czasie opowieści odchylił marynarkę, żebym mógł zobaczyć przewieszony przez ramię "zdobyczny" mapnik oraz tkwiacy w kaburze "Vis". Chciał się pochwalić. Oczywiście zaciekawiał mnie ten pistolet - rzadka broń u nas. Wcześniej "Węgorz" miał "Tetetkę" (pewnie na UB zabrali mu go do ekspertyzy i dali w zamian "Visa").

- Pokaż tego "Visa" - Wziąłem go, obejrzałem (był produkcji z czasów okupacji niemieckiej) i zwróciłem trzymając za lufę skierowaną prosto we mnie. "Węgorz" odbierając pistolet chwy-

cił za rękojeść i w tym momencie przez ułamek sekundy ujrzałem w jego oczach moment cholernego napięcia, strachu i podjętej błyskawicznie decyzji. Momentalnie zrobiło mi się gorąco. Trzymam pistolet za lufę i nie wiem czy szarpnąć, ale jeśli nabój wprowadzony do lufy, to już po mnie. Rysy twarzy "Wegorza" jednak momentalnie złagodniały, puściłem więc lufę "Visa" i mówię do niego spokojnie:

- Odchyl w bok ten pistolet - mówię - bo walniesz jeszcze mnie w brzuch, kurcze i zabijesz. - Przez jego twarz przemknął lekki, ironiczny, uśmiech, po czym włożył "Visa" do kabury. Widać, że czuje się pewnie - ma "Visa", kaburę, pas z koalicyjną. Pamiętam tę scenę po tylu latach tak jakby to było nie wczoraj, a dzisiaj.

Jedząc śniadanie mówię, że teraz "Ryk" tu wszystkim rządzi (tak uzgodniłem z nim, że do czasu nawiązania kontaktu z "Młotem" wszyscy pozostajemy w dyspozycji "Ryka"). "Węgorz" stwierdził, że skoro jest tu "Wilk", "Jaskółka" i "Szarak", to on tylko skoczy na melinę załatwić jedną sprawę i wieczorem spotkamy się o ustalonej godzinie. A on już wybierał się do ubowców, żeby ich powiadomić, że tu jestem. "Węgorz" nie znosił "Wilka", bo ten zawsze nabijał się z niego, gdyż "Węgorz" miał platfusa i takie iksowate nogi, tak że mamutem go nazywaliśmy. Wyglądał jak pokraka. No i z tym „Wilkiem” stale się ścinał, bo „Wilk” stale mu dokuczał.

„Wilk” pochodził gdzieś z Wołynia, tam był w jakimś oddziale. W spisach podają, że jego nazwisko Kozikowcz, ale to nie prawda. Prawdziwe nazwisko nieznane. Na Wołyniu zagarnęli go do wojska, nie miał wyjścia i poszedł do armii. No i kiedy wysłali go na Ukrainę, na walki z UPA, to zdezerterował. Ukrywał się w sokołowskim powiecie, koło Kosowa, koło kolonii

Garnek, Jagodnik, u jakiejś wdowy ukrywał się. No i w lutym 1947 r. dołączył do nas, znudziło mu się u tej wdowy.

Po jego odejściu zacząłem analizować to co usłyszałem i porównując relację chłopków doszedłem do wniosku, że w opowiadaniu "Węgorza" coś nie gra. Ten mapnik i pistolet w dziwny sposób niepokoiły mnie.

Niedługo po jego odejściu przyszli "Jaskółka", "Wilk" i "Szarak".

- Słuchajcie chłopaki - mówię do nich - Jest "Węgorz", jest mamut, wróci pod wieczór, ale dla mnie jest sprawa podejrzana, ale na razie tylko podejrzana. Jeżeli się zdecydujemy, to trzeba się zdecydować: trzeba go będzie załatwić. Jeżeli tylko rozbroimy, to pójdzie w teren bez broni i chłopci wezmą złapio, widłami przytłuko, zwiążą i na milicję zawiozo. Żaden jednak nie chciał wyrazić swego zdania w tej sprawie - dowódów przecież żadnych nie było, tylko moje przeczucia - i tak pozostało. Na nasze nieszczęście i zgubę "Wilka". Ale oni nie mówia dla mnie wszystkiego. Przecież oni trzy erkaemy zostawili: „Wilk” zostawił erkaem, „Szarak” czeską zbrojówkę i „Węgorz” miał erkaem. I w meldunkach jest, że KBW przejęło tę broń.

Dopiero po latach dowiedziałem się, że w tym czasie gdy rozmawiałem z "Węgorzem" w gajówce Żurobice (niedaleko od gajówki Hornowszczyzna - jak wyjdzie się z chałupy Krasnodębskiego i spojrzy w dół, to gajówkę Żurobice widać gołym okiem) czekało na jego znak dwóch ubeków, a on przyszedł zlikwidować mnie. Kiedy jednak dowiedział się, że niedługo przyjdzie tu (do Krasnodębskiego) reszta kolegów, zmienił swoje plany. Przede wszystkim zawiadomił swych współników o tym, że więk-

szość chłopaków z patrolu "Lecha" jednak ocalała. Rozkazano mu więc dołączyć do grupy, a UB - dzięki jego informacjom - miało krążyć wokół nas i w odpowiedniej chwili przystąpić do likwidacji oddziału.

Jeszcze w czerwcu "Ryk" kazał sprawić lanie Andrzejowi Oniszczukowi w Hornowie. Teraz więc idziemy do niego. Przy okazji mieliśmy zabrać buty i marynarki, żeby chłopaków ubrać, bo byli bez ubrań. Oniszczuk, na gościńcu za Hornowem, spotykał się z milicjantami z Bociek i zdawał im relacje

Na tej akcji był z nami i "Węgorz", więc UB dowiedziało się o tym, mieli jednak mało czasu by wszystko zapiać "na ostatni guzik". Wiedząc kiedy będziemy w Hornowie zasadzkę urządzili na gościńcu łączącym Hornowo z Jasienówką. Z głupoty jedno ze stanowisk umieścili przy usypisku polnych kamieni. Pozycja była wygodna dla zasadzki, ale gdy nad ranem nadeszliśmy, któryś z ubeków przez nieuwagę potracił kamień, który spowodował małą lawinę. To nas spłoszyło. Błyskawicznie zmieniliśmy kierunek marszu i poszliśmy na przełaj - pozostawiając podejrzanym miejsce z prawej strony. Pamiętam jeszcze, jak "Węgorz" uspokajał, że to może zajac spowodował ten obsunięcie się kamieni i narzekał, że idąc na przełaj przemoczy obowie (była rosa) itd. Zdaje się, że ich plan był taki: gdy z ukrycia otworzyliby do nas zniecka ogień, wówczas "Węgorz" miał strzelać nam w plecy. Zaskoczenie rokowało pełne powodzenie zasadzki - jednak przez przypadek nie udała się, a my bez przeszkód zaszliśmy do Hornowa. „Szarak” zeznawał później, że do domu Oniszczuka przez okno wlażem. Oniszczuk otrzymał zasłużone baty i ostrzeżenie, że jeśli jeszcze raz spotka się ze swymi mocodawcami, to dostanie w łeb. Oniszczuk miał wrzody na dupie i na brzuchu, to został po nich pokopa-

ny. Odchodząc przeprowadziliśmy rekwizycję (Potem straty zadane przez nas określił na 140 tys. zł., co było zwykłym oszustwem, bo wszystkiego wzięliśmy dwie pary butów i marynarki. Był "Świadkiem Jehowy" i dostawał paczki od nich z Ameryki).

Stamtąd poszliśmy pod Lipiny. Do wsi jednak nie zaszliśmy. Na wszelki wypadek przenocowaliśmy w krzakach, niedaleko Lipin. Rankiem "Węgorz" odciągnął "Wilka" [namówił go, żeby poszedł z nim] na spotkanie z eneszetem [właściwie: NZW]. Nie oponowaliśmy, bo było umówione z narodowcami spotkanie, do którego "Błękit" [płk. Władysław Żwański, k-dt Okręgu NZW Białystok] strasznie się palił. "Błękit" koniecznie chciał jakiejś ugody z "Młotem", nawiązać jakąś łączność, żeby tu na ślepo nie chodzić, że tylko razem mamy większe szanse na walkę z UB. Jakiś czas wcześniej spotkaliśmy się z patrolem PAS-u [NZW], który chodził w gm. Brańsk, dowodzonym przez "Jesiona" („Głuszc” to co innego”) [z oddziału PAS NZW "Głuszc” - szefa PAS na pow. Bielsk Podlaski]. Ja powiedziałem kategorycznie:

- Nie idę na żadne spotkanie z eneszetem. Stachu chce, proszę bardzo, niech idzie. - No i Staszek poszedł, i w Klukowicach "Węgorz" wraz z innym ubekiem rąbnęli go, psia kość. To było koło 15 czerwca. Odchodząc "Węgorz" ustalił z nami spotkanie na punkcie u Marysi Ryczkowskiej [w maju 1948 r. została zaprzysiężona przez "Ryka"], na kol. Oleksin. Tam miał zgłosić się po nawiązaniu kontaktu z "Błękitem" i przekazać sprawozdanie z wykonania zadania.

Dla UB była to nielada gratka. Od lat przecież stawali na głowie, żeby dorwać "Błękit", a tu niemal sam wpada im prosto w łapy. Chęć nawiązania współpracy przez obie organizacje

stanowił okazję dla UB zastosowania na dużą skalę prowokacji. UB stworzyło spec grupę, niby partyzancką (12 ludzi), Do dyspozycji mieli amerykańską ciężarówkę "Dodge". W roli dowódcy grupy występował "Wegorz". W rzeczywistości dowodził nią referent WUBP, Białorusin, Szataniak, zaś zastępcą był Lewandowski albo Niedzielak z UB [to opowiadał mi w więzieniu "Bimbo" z ochrony "Błękitu"]. Ich zadaniem było wytropienie miejsca pobytu "Błękitu" i jego likwidacja, a przy okazji również likwidacja "siatki".

Na spotkaniu z "Rykiem", które odbyło się dzień czy dwa później, zdałem mu relację z rekwizycji u Oniszczyka i powiadomiłem o umówionym na kol. Oleksin u Marysi Ryczkowskiej spotkaniu z "Wegorzem" i "Wilkiem", którzy mieli nawiązać kontakt z "Błękitem". "Ryk" zdecydował, że sam uda się na to spotkanie, a my mieliśmy krążyć niedaleko stąd. Wiadomość o rezultacie spotkania miał nam zostawić w dziupli drzewa w lesie pod Oleksinem. Gdy minął termin spotkania i nie było żadnej wiadomości (kilkakrotnie sprawdzaliśmy skrytkę), zaniepokojeni tym faktem postanowiliśmy pójść do Marii, by dowiedzieć się od niej co się stało. Było to koło 21 czerwca.

Kiedy podchodziliśmy pod zabudowania Marii zaczął ogarniać mnie niepokój, który nakazywał wzmóc czujność. Dzień był pochmurny i dżdżysty. Dookoła cisza. Szedłem pierwszy, a za mną wlekli się "Jaskółka" z "Szarakiem" i molestowali mnie o zapalki, bo chcieli sobie zapalić, a tylko ja je miałem.

Podeszliśmy pod stodołę. Ostrożnie wyjrzałem zza węgła i zobaczyłem, że okna mieszkania Marii zabite są deskami na krzyż. Cicho, ani śladu pobytu kogokolwiek. Ruchem ręki uciżyłem żądających zapalek chłopaków i pokazałem im okna.

Przez jakiś czas obserwowaliśmy teren, w końcu podszedłem pod dom i przez okno, pomiędzy deskami, zajrzałem do środka. W kuchni panował nieład - porozwalane garnki na kuchni i podłodze, na łóżku stojącym pod ścianą pościel i słoma z siennika porozwalane. Przez drugie okno zajrzałem do "alkierza". Stół był przesunięty, krzesła poprzewracane, na stole w nieładzie stały cztery talerze, szklanki i sztucce porozrzucane. Wyglądało to tak, jakby przez mieszkanie przeszedł huragan, a stolownicy opuścili je w wielkim pośpiechu.

Trochę pokręciliśmy się w terenie, ale trzeba było jak najprędzej złapać kontakt z "Rykiem", a przez niego ze "Starym". "Jaskółkę" zostawiliśmy gdzieś na melinie, bo nie chciałem z nim chodzić. Miał przecież dostać w łeb. Jak chodziłbym z nim, to nie wiem jak ludzie patrzyliby na to. Niby cicho, wszystko w porządku, ale... .

Poszedłem na spotkanie z Krasnodębską, na Hornowszczyznę. Jurka ("Szaraka") zostawiłem u Grabowskich, na kolonii Jasienówka i sam poszedłem na to spotkanie, bo jednemu bezpieczniejszemu. Marysia przyszła na kolonię, pod zabudowania ojca. Usiedliśmy w kucki nad takim bajorkiem, w krzakach i rozmawiamy. Zauważyłem, że Marysia była dziwnie napięta i wystraszona. Czy ona już coś wiedziała, czy może mnie się bała, dość że była przestraszona. No i pytam się jej najpierw, czy "Ryk" się nie pokazał.

- Nie, nie było go - odpowiedziała. Jeszcze trochę pogadaliśmy i rozstaliśmy się. Ona poszła do domu, a ja już nie zachodziłem do jej ojca. Idę na kolonię. Obok domu Krasnodębskich biegł gościniec. Można było dojść nim do gościńca Hor-

nowo - Siemiatycze. Obok był lasek, a przy polnej drodze olbrzymie kupy kamieni polnych.

Była ciemna noc. Idę tym gościńcem, dochodzę do kamieni i nagle usłyszałem charakterystyczny dźwięk, który mógł wydawać, tylko sowiecki "Dziegciar" - to był grzechot amunicji w tałdrzu. Najwidoczniej rkm na stanowisku wyrócił się. Błyskawicznie skoczyłem w prawo, za kupę kamieni i prosto przed siebie. Biegnę po omacku, bo jest kompletnie ciemno, a za mną słyszę ciężki bieg - to musiał być potężny człowiek. Słyszę, też szczekanie psa gdzieś we wsi. Pewnie idzie po moich śladach.

W pewnym momencie skręciłem pod kątem prostym, w prawo, w dół i wpakowałem się w rów (później okazało się, że był to rów odwadniający). Natychmiast położyłem się, żeby jak najmniej widać mnie było i czuję, że robi mi się mokro i zimno - to mundur nasiąka wodą, której było tu po kolana. Niech to diabli. Co miałem robić - leżeć, bo przejść nie mogę. Wiem, że za mną jest jakieś pole, coś na nim rośnie, ale co? Ten co za mną biegł stanął niedaleko mnie, postął trochę i pobiegł w kierunku na Brzezinę. Więcej tupotu tak blisko nie słyszę. Tak jakby był tylko jeden, ale dookoła słychać szum, chodzenie, rakiety..

Do późnego rana leżałem (ze cztery godziny) w tym rowie, a oni cały czas szukali dookoła. Na kolonii żaden pies nawet nie jęknął - więc wiedziałem już, że to wojsko. Jakaś zasadzka. Diabli wiedzą, czy i to pole nie jest obstawione. Powoli kolonia zaczyna budzić się do życia: gdzieś skrzypnęły drzwi, to koguty zapiały. Wylazłem z rowu, i zobaczyłem, że na polu rośnie łubin, ale taki rzadki, że wozem możnaby przejechać pomiędzy łodygami. Położyłem się w łubinie i myślę. Papierosa

zapalić nie mogę, bo wszystko mokre. Notatnik też zamókł. Wi-
dzieć, że gospodyni wychodzi - bratowa Krasnodebskiej - Janka.
Postała przy drzwiach i poszła do chlewa, do krów chyba. Ci-
sza. Wyszedł dziadek, stanął przy spichrzu, wysikał się i po-
szedł do kurnika jajek nabrać.

W końcu podniosłem się i idę na podwórko. Podchodzę i pytam
się Janki:

- By tutaj kto u was?

- Nie, nikogo nie było. - Pytam się dziadka - nikt nic nie
wie, a przecież ja nie miałem w nocy jakichś zwidów, nie uku-
rzyło mnie się we łbie, nie wymyśliłem tego, a ona zachowuje
się całkiem normalnie. No to ja na skrót przez pole i przyle-
ciałem na kolonię (Jasionówka), a tam Jurek leży sobie na
klepisku, na słomie, i śpi suchy, wypoczety, zadowolony i o
niczym nie wie.

- Daj chociaż zapalić, bo u mnie wszystko mokre.

Zaraz, rankiem jeszcze, idziemy stamtąd przez Jasionówkę na
wieś Malewice. Wracamy pod Brańsk, do siebie. Tutaj się cho-
wałem, to tutaj przetrzymamy. Teren jednak jest zapchany woj-
skiem. Nie ma gdzie się ruszyć. Jesteśmy we dwóch: ja i Ju-
rek. „Jaskółkę” zostawialiśmy gdzieś, bo ja nie chciałem z
nim chodzić, bo przecież miał dostać w łeb. Jak chodzisz z
nim, to nie wiem co ludzie o tym myślą. Niby wszystko w po-
rządku, wszystko cicho, ale.... .

Na drodze pojawia się na rowerze, jadący od Malewic, facet.
Mija nas, uporczywie przyglądając się nam. Oglądam się i wi-
dzieć, że gość kawałek podjechał, zatrzymał się i też patrzy na
nas.

- To podejrzany gość - mówię do Jurka - Rano, na rowerze i
nie jest ubrany tak jak miejscowi. - Wyglądał jakoś tak z

miejska. Dochodzimy bliżej pod Malewice i patrzę, skąd jest ślad tego roweru. Rano, po rosie, to wszystko było widać. Ślad prowadził nie z Malewic, ale od strony kolonii Łopot.

- No, kurza noga - mówię - czy przypadkiem nie jechał z kolonii od Charytonów. Nie idziemy więc na Malewice, ale do Charytonów. Podeszliśmy jeszcze kawałek dalej i zatrzymaliśmy się w takim zagajniczku sosnowym. Stałem za drzewem i obserwuję teren przez lornetkę. Przed nami pierwsze zabudowania Malewic, a bliżej nas jest struga, niewielka rzeczka. Przez nią biegnie kładka, przez którą ludzie przejeżdżają furami, zwożąc siano. Droga wiedzie prosto do zabudowań Charytonów. Uważnie przeglądam przedpole, na drodze widać jeszcze ślad roweru, bo rosa była, a jak rowerem przejechał, to w tym miejscu ślad był suchy. No i tak przyglądam się po tych wszystkich krzakach i nagle widzę, że koło mostku coś się poruszyło. Przyjrzałem się lepiej: to twarz pomalowana na zielono, a w czapkę powtykane gałęzie. Jak był obrócony, to nie było widać, ale jak się poruszył, to zobaczyłem. Zasadzka.

- Zobacz Jurek. Widzisz, tam ktoś przy mostku jest - pokazuje.

Następne przejście przez strugę było dopiero w Działkowicach. No to my już nie idziemy na zabudowania Charytona w Malewicach (a tylko tu było przejście). Następne było w Działkowicach. Przeszliśmy więc pomiędzy Malewicami, a tym mostkiem, przez łąkę, na ukos, wpław przeszliśmy rzeczkę, Działkowice - Kąty ominęliśmy i idziemy na Brzeziny. Skręciliśmy w prawo, na Wojeniec. Minęliśmy kolonie Wojeniec, Niedźwiadek. Przechodzimy koło chałupy, gdzie w marcu [48 r.] rozwaliliśmy Józefa Wojeńskiego i patrzymy: przy stogu siana gość w pelerynie stoi. Wyhylił się zza stogu.

- Oho - mówię, to nawet zabudowania obstawione. To znaczy, że UB już było powiadomione, że my tą trasą często przechodzimy (to była bardzo wygodna trasa, i najbardziej ekonomiczna, bo na skróty szła). Czyli: w Malewicach obstawione, na Hornowszczyźnie, przy Krasnodębskich - obstawione. Stamtąd wyszliśmy, z Malewic wyszliśmy. W Wojeńcu - też obstawione.

Dochodzimy do chałupy Wojeńskiego położonej pomiędzy Wojeńcem, a kolonią Wojeniec, wchodzimy w podwórze, a gospodarz wyskakuje z chałupy i krzyczy:

- Uciekajcie, bo jakichś dwóch gości od Wojeńskich tu idzie - już poznali nas. Zauważyłem tych dwóch - szli bardzo szybkim marszem. Coś mi się wydaje, że już wcześniej ich widziałem. No to my w tył zwrot - na Wojeniec, polami, zbożem, prujemu przed siebie dróżką. Kierujemy się na Siedlece i Siekluki. W Sieklukach coś mi się pokręciło - diabeł nadał. Gdybym nie przeszedł rzeki Leśnej, a skrecił przed nią (przed mostkiem) w lewo, na Sielc, to minęlibyśmy się z patrolem ubowskim. A tu zapchane wszystko wojskiem było: kolonie Oleksin - obstawione, Smolugi - obstawione. Wiedzieli, że tu jesteś.

Doszliśmy do miejsca, gdzie Leśna wpada do Nurca. Żeby dostać się do Burchat, trzeba było przejść przez Nurzec. No to "Szaraka" przeniosłem na plecach na drugą stronę. Zbliżał się już zachód słońca, powoli zapadał zmierzch. Usiedliśmy przy brzegu i chyba zabierałem się, żeby nałożyć trzewiki, gdy na drugim brzegu, podeszło do nas trzech gości w cywilu, za to z bronią - mieli "Pepesze". Dalej na polu chłopci grabili siano, a my - dwóch fircyków - bez grabi. Gdybyśmy to przemyśleli - to może inaczej by było, ale od nocy do popołudnia z matni wyłaziliśmy i już tak jasno nie myśleliśmy. Zresztą - rzucałiśmy się w oczy, bo byliśmy ubrani po miastowemu - marynarki

samodziałowe, spodnie, trzewiki. Wyglądaliśmy jakbyśmy wracali z odpustu, ale w tym czasie - niestety - w okolicy żadnego odpustu nie było, więc od razu wiadomo było co my za jedni. To już było pod zachód słońca, ale mi już z tego wszystkiego pory dnia się pokreśliły. No i zaczyna się gadka.

- Przejdź tu do nas - powiedział któryś - Dokumenty masz?

- My tu mieszkamy, zaraz, no. - tłumaczę. Miałem zaświadczenie z PUR-u i pomyślałem, że w razie czego wystarczy, ale od razu byłem pewien, że to tylko taki pic z ich strony, bo to przecież chłopaki z patrolu "Jesiona" [z NZW]. Zaraz więc wszystko się wyjaśni. Zresztą, uciekać, to nie było za bardzo gdzie: rzeczka, to dla nich żadna przeszkoda, a przed nami otwarte pole i wioska Burchaty, w której pewnie oni siedzieli. Poza tym skoro w Mrozowej Woli udało mi się wyjść z kotła bez żadnych dokumentów, to tu tym bardziej, ale co tu się niepokoić, przecież to na pewno chłopaki z patrolu eneszetu [NZW].

Przeszedłem rzeczkę, podszedłem do nich, dałem zaświadczenie z PUR-u (wystawione na moje prawdziwe nazwisko, wystawione w Dziedzicach, na przejściu granicznym), gadamy i w końcu mówię:

- Chłopaki, przestańcie w huja grać. Ja jestem "Mikrus", a wy jesteście od "Jesiona"? - Na te słowa w nich jakby sprężyny wyskoczyły: błyskawicznie chwycili za automaty i już widzę trzy lufy wymierzone we mnie. Wtedy jeden z nich, taki zadowolony (mierzył do mnie z pistoletu "piętnastki"), powiedział:

- No, "Mikrusik", w dupę jebany, popadłeś. - A ja na to krótko:

- Huj wam w dupe. - A Jurek, który siedział sobie na drugim brzegu i wszystko słyszał, w ogóle nie zareagował. Miał "Tetetkę", mógł pomóc. Zamiast strzelać, jak trusia podszedł do nich, pistolecik oddał i do widzenia. Gdyby strzelił choć raz, to próbowałbym uciekać. Umieć pływać, to do Nurca, który wtedy był wezbrany, rzuciłbym się i nie dostaliby mnie, a tak... .

Zaprowadzili nas do Bodaczek [sąsiednia wieś]. Zatrzymali się jak raz przed domem Kazimierza Chłóda ps. "Szpała" [dowódca miejscowej "siatki", w 46 kilkakrotnie ze swymi ludźmi brał udział w akcjach zbrojnych VI Brygady "Wiktora", ujawnił się w 1947 r.]. "Szpała" przygląda się nam, a ja mówię:

- No, panie Kazimierzu, dziękuję za przysługę. - Okazało się, że dobrze trafiłem. Tam i jego sprawa była. UB miało przecież pełną informację o tym, gdzie, po jakich trasach, my się poruszamy. Potem dowiedziałem się, że "Szpała" miał zezwolenie na broń, miał dubeltówkę, organizował polowania, jednym z jego gości był sam szef powiatowy milicji w Bielsku. Jakich więc dowodów jeszcze trzeba?

W terenie krąży różne plotki, że m.in. ja Aniele Kiersnowska sypnąłem. No, to logiczne, bo jak mnie wzięli, to pytali o to gdzie ja byłem. Ale przecież wiem, że na kol. w Pace, tam gdzieśmy byli, to się przyznał Marian Kamiński (nie żyje) - współpracownik UB ps. „Dąb” i on meldował UB [nie jest jasne czy chodzi o M. Kamińskiego ps. „Dąb”, czy też „Dąb” i M. Kamiński to dwie osoby], że byliśmy u Kiersnowskich, że posze-

dłem do Kiersnowskich i przyniosłem dla nich słoninę. Z „Rykiem” tam byłem. Poszedłem do Marianów i mówię:

- Dajcie kawałek słoniny, bo cholera nie ma nawet czym okraszyć kartofli. I Anielka dostała 1 rok czasu. Poza tym przecież jak „Grot” ujawnił się, to powiedział na UB, że do Kiersnowskich przywiózł garnitur i od nich zabrał „Łupaszkę” wywożąc go do Warszawy. Powiedział też, że u Anielki została się „Lalka”, że do niej, na adres Kiersnowskich przychodziły z Warszawy listy, że Mariana zawiózł „Lalkę” do Szepietowa.

Była plotka, że archiwum V Brygady zachowane jest u ks. Godlewskiego w Osmoli, w kościele, w filarach. Zawsze przekonany byłem, że tam nic nie ma, bo gdyby było to UB dawno wszystko by rozebrało i kamień na kamieniu z tego kościoła by nie został.

Z kolei „Wiktor” zeznał, że „Grot” przekazał archiwum VI Brygady dla „Odyńca”, który ukrył je w bańkach po mleku na terenie swego gospodarstwa w Bujakach, albo gdzieś na polu. Rozmawiałem o tym z ks. Romanem Wodyńskim, rodzonym bratem „Odyńca”.

[fragm. wspomnień „Mikrusa”:]

„Jaskółka” w 1946 r. znalazł się w żandarmerii VI Brygady. Oddziałem dowodził sierż. „Lech” (Borowik Antoni). Głównym zadaniem żandarmerii było ściganie koniokradów i kontrybuciarzy [uzbrojone bandy rabunkowe nakładające na wsie pieniężne kontrybucje-J.K.]. W kwietniu 1947 r. ujawnił się. Jego matka

żyła w Bielsku [Podlaskim] z milicjantem. Gdy "Jaskółka" wrócił do domu, to nie mógł się z nim dogadać, bo ten wyzywał go ciągle od bandytów. W końcu po jednej z takich kłótni sprawił milicjantowi lanie, a wtedy ten poszedł na skargę do dowódcy i "Jaskółkę" aresztowali. Chcieli mu zrobić sprawę za napad i pobicie funkcjonariusza państwowego. Trzymali go w areszcie w Bielsku. Gdy pewnego razu wypuścili go do ubikacji, to "Jaskółka" wskoczył do szamba i odpływem wydostał się na zewnątrz ogrodzenia. Zanim pilnujący go pod wychodkiem milicjant obejrzał się, "Jaskółka" był już za parkanem. Poszedł w las i tyle go widzieli. W l. 47-48 założył bandę, mieszaną polsko-sowiecki. Nabrał rusków, różnych miejscowych szalawiłów, parobków. Zrobili skok na Milejczyce, milicjanta zabili, ale posterunku nie zdobyli. Szybko stali się zwykłą bandą rabunkową. Ukrywali się w Lipinach, Malinowie, w Zarebach koło Działkowic, w Korzeniówce - to były wszystko stare punkty "Lechy". Chodził przecież w żandarmerii, to znał ludzi. W lutym 1948 r. rozpieprzyli ich w Malewicach i „Jaskółka” został się sam.

O jego działalności meldunek złożył "Ryk". "Stary" się wściekł i wydał na niego wyrok śmierci. "Młot" dał polecenie, jak tylko złapiemy go - rozwalić. Dostaliśmy go. Na koloniach Zareby "Jaskółka" zgłosił się do nas. Ale Był w cywilnym ubraniu.

Antoś ("Lech") był taki serdeczny człowiek, taki kolega zawsze, że do rany przyłóż, nie miał sumienia - po prostu mówiąc był za mięki - żeby wykonać rozkaz "Młota" i rozwalić "Jaskółkę", którego dobrze znał, sprzed paru lat. A wiedział przecież, że "Jaskółka" namieszał w terenie, spowodował, że w terenie zrobiło się bardzo niebezpiecznie, bo działalnością

swej bandy ściągnął uwagę UB na ten teren. Naraził wielu ludzi, spowodował aresztowania. "Lech" uznał jednak, że przecież "Jaskółka" nie chciał tego, ukrywał się sam, bo jego grupa została rozbita (część ruskich aresztowano - pewnie "pojechali na białe niedźwiedzie", a resztę wybito) został więc trzeba było mu pomóc.

Razem z "Jaskółką" przyszedł "Lipa" (Edward Niedźwiedzki), który ukrywał się jako parobek w Lipinach. Podobno w 45 r. był w V Brygadzie. Miał "dziegciara" [sowiecki rkm typu "Diegtiarow"], a "Jaskółka" sowiecką "samozariadkę", czyli "dziesiątkę" [10-strzałowy karabinek kawaleryjski]. "Lech" nie chciał wykonać wyroku, ale zostawić "Jaskółki" samego też nie mógł, musieliśmy więc zabrać go, a "Lipę" odesłaliśmy na melinę, bo dwóch gorzej było pilnować, lepiej jednego. "Lech" liczył na to, że chłopak się zrehabilituje. Po co go bić, jak już tylko kilku nas jest, to jeszcze sami mamy się wytłuc? Liczył też na to, że sprawa jakoś "przyschnie" i "Staremu" ta pierwsza złość minie

"Jaskółka" był w oddziale na takich samych warunkach jak każdy z nas. Nie daliśmy mu poznać, że na nim wyrok spoczywa. Mieliśmy jednak rozkaz zwrócić na niego uwagę. "Ostoja", "Tygrys" i ja mieliśmy "mieć na niego oko". Liczyliśmy się i z tym, że może próbować ucieczki, ale chłopak w oddziale zachowywał się bez zarzutu. Kilka razy wziął udział w akcjach, gdzie sprawdził się. Nikt nie mógł mieć do niego za ten okres pobytu w naszym oddziale pretensji.

Później ukrywał się sam. Z rozbitków od "Lecha" dołączył do "Jaskółki" "Orzełek" (Welfel Eugeniusz) i "Marynarz" (Aleksander Leszczyński - rozwalony w Białymstoku) od "Bartosza". Jeszcze jakiś czwarty dołączył i we czwórkę ukry-

wali się. Trzymali się jednego terenu jak zaczarowani. Ukrywali się w okolicach Dołubowa, Dziadkowic, Brzezin, Korzeniówki, Zaremb, Malinowa, Czarnej [pow. Siemiatycze i Drohiczyn]. Jak wynika z meldunków UB w Zarembach był jakiś agent, który ich śledził. Chociaż zastawiano na nich liczne zasadzki, jednak ciągle z nich wychodzili. I dopiero z 7 na 8 czerwca 1950 r. dorwali ich. (Szmurło "Kogut" jakiś czas był w bandzie "Jaskółki" - [chodzi chyba o okres przed dołączeniem "Jaskółki" do patrolu "Lecha"]).

Ściśle tajne

Egz. Nr.....

O P I S

działań rozpoznawczych i akcji operacyjnej

.....[w wyniku] których zlikwidowana została banda "Jaskółki" w dniu 8.06.50 r.

Mapa 200000-42

I. S Y T U A C J A.

1. Dnia 10.05.50 r. w meldunek Bielsk Podlaski odbyła się konferencja z udziałem Szefa PUBP, D-cy GO "B", oficerów

Sztabu GO [Grupy Operacyjnej] "B" i referentów PUBP Bielsk Podlaski. W wyniku tej odprawy - uruchomione zostały w gminach Siemiatycze, Milejczyce, Boćki i Brańsk intensywne działania rozpoznawcze w godzinach popołudniowych i nocnych - z wystawianiem podsłuchów po trasach przejść bandy "Jaskółki" na skrajach lasów, przy spółdzielniach itp.

2. W gminie Grodzisk zdecydowano działań nie przeprowadzać - w związku z głębszym rozpracowaniem rejonu Zareby - Korzeniówka - Lipiny /2020/ przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego

3. Celem działań rozpoznawczych nocnych było zmuszenie bandy "Jaskółki" do przebywania w rejonie swych zasadniczych melin.

4. Dnia 25.05.50 r. dojrzała sytuacja, aby w rejonie kol. Zareby /2020/ wystawić długotrwałą zasadzkę. Zadanie tej zasadzki było podwójne: - z jednej strony - zlikwidować bandę w razie jej przybycia na melinę, z drugiej - w związku z częstym przebywaniem bandy w tym rejonie i możliwością jej obserwacji przez mieszkańca kol. Zareby - d-ca zasadzki winien był meldować do d-cy GO "B" o ruchach bandy na podstawie uzyskanego rozpoznania.

5. Dnia 27.05.50 r. około godz. 8.30 banda "Jaskółki" w sile 4-ch przybyła w rejon zasadzki do lasu /2020/ - około 1 km. od zasadzki; 2-ch bandytów przebywało w rejonie kol. przez krótki okres czasu, 2-ch znajdowało się w pobliżu w lesie. D-ca zasadzki zameldował o pobycie bandy w tym rejonie, lecz dane te wymagały dalszego potwierdzenia - w celu ustalenia dokładnego miejsca pobytu bandy. Po dokładnym ustaleniu okazało się, że banda około godz. 14.00 odeszła z tego miejsca i udała się w nieznanym kierunku.

6. Analizując poprzednio otrzymane materiały odnośnie melin bandy "Jaskółki" oraz fakt, że banda odeszła z kol. Zaręby nie spłoszona przez żołnierzy - można było dojść do wniosku, że banda powtórnie przyjdzie do tego miejsca, gdzie była widziana przez zasadzkę. W międzyczasie banda była jeszcze raz widziana w dniu 30.05.50 r. około godz. 7.30 w sile 4-ch bandytów w pobliżu lasu /2020/. Doceniając rolę, jaką zasadzka mogła odegrać - wzmocniono jej skład doświadczonymi 2-ma referentami PUBP oraz d-cą kompanii.

7. Dnia 3.06.50 r. sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że otrzymano dodatkowe materiały, na podstawie których banda "Jaskółki" miała znajdować się w rejonie Korzeniówka - Zaręby - z okazji odbywającego się odpustu w dniu 4.06.50 r.

II. PRZYGOTOWANIE AKCJI OPERACYJNEJ

1. Kalkulacja czasu:

a/ Wiadomość o tym, że banda może przyjść w wytypowany przez nas rejon z okazji odpustu - Sztab Brygady otrzymał dnia 3.06.50 r. o godz. 19.00.

O godz. 22.00 w [m.] Siemiatycze wiadomość ta została ponownie potwierdzona przez pracowników Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego

b/ Dokładnych danych o bandzie należało oczekiwać dnia 4.06.50 r. między godz. 23.00 a 24.00.

c/ Czas na przygotowanie akcji operacyjnej był wystarczający - wykorzystano go następująco:

od godz. 23.00 - 5.00 - przygotowanie elementu do decyzji,

od godz. 5.00 - 10.00 - opracowanie dokumentacji bojowej z jednoczesną koncentracją pododdz. [-działów].

od godz. 10.00 - 11.00 - postawienie zadań d-com pododdz.

W n i o s k i:

Czas na planowanie akcji - wystarczający, natomiast czas na wykonanie linii okrążenia nocną porą przed świtem - bardzo mały z tym, że o godz. 1.30 jest już jasno.

2. Ocena bandy:

Banda "Jaskółki" w sile 4-ch bandytów w ostatnim czasie nie zachodziła na kolonie ani do osiedli - tylko przebywała w lasach. Po żywność wysyłała zazwyczaj jednego z bandytów.

Prowadzi obserwację ruchu na szosie Bielsk - Siemiatycze i w wypadku stwierdzenia większego ruchu samochodów - zmienia swoje miejsce postoju o parę km w głąb [lasów].

Banda doskonale zna teren.

Uzbrojenie bandy - karabiny 10-strzałowe, pistolety maszynowe, granaty.

3. O c e n a t e r e n u:

a/ Teren, do którego banda miała prawdopodobnie przyjść - jest pokryty gęstym lasem, młodymi zagajnikami, poszczególne masywy leśne są ze sobą połączone leśnymi przesmykami.

Podejście od strony południowej i południowo-wschodniej trudne ze względu na brak dróg dla dojazdu wojska. Obwód rejonu, do którego prawdopodobnie miała przybyć banda, a więc: Brzeziny - Dołubowo - Czarna - Średnia - Malinowo - Korzeniówka - około 20 - 21 km.

b/ Teren jest niedogodny dla naszych działań; podejście do rejonu okrążenia musi być dokonane z północnego-wschodu i południowego-wschodu od szosy.

c/ Rejon jest bardzo duży, niemożliwy do jednoczesnego okrążenia i należy go rozbić na mniejsze rejony.

4/ Ocena warunków atmosferycznych:

Noce były widne, księżycowe, nastanie świtu o godz. 1.30.

5. Ocena sił własnych:

a/ Dla okrażenia całego rejonu prawdopodobnego znajdowania się bandy sił nie było. Dlatego należało go rozbić na 2 - 3 rejonu mniejsze, aby po umiejscowieniu bandy - okrażyć ją w rejonie o obwodzie do 8 - 8,5 km.

b/ Stan aktywnych bagnetów 1-go i 4-go Baonu GO "B" wynosił 420 ludzi tj. tyle, ile potrzeba będzie na linię okrażenia w jednym z mniejszych rejonów.

Dla stworzenia grupy szturmowej należało ściągnąć pododdziału z odwodu Brygady z meldunek Białystok.

c/ Środki łączności, transportu i zaopatrzenia były wystarczające i w stanie dobrym.

III. W S T Ę P N A D E C Y Z J A.

1. Rejon, do którego miała przybyć banda - podzielić na 2 części i dla każdej opracować oddzielnie plan akcji operacyjnej /zgodnie z załącznikiem Nr. 1 [załącznika brak].

2. Skoncentrować 1-szy Baon w sile 3-ch kompanii w [m.] Siemiatycze /1020/, 4-ty Baon w sile 2-ch kompanii w [m.] Boćki /3030/ na godz. 10.00 dnia 4.06.50 r., komp. Specjalna z mp. Brygady w Siemiatycze /1020/ na godz. 11.00 dnia 4.06.50 r.

3. Linie okrażenia w obu wariantach "A" i "B" zająć siłami 1-go i 4-go Baonu, Komp. Specjalna użyć jako grupe szturmowa i odwód.

4. Na godz. 10.00 opracować całą dokumentację bojową do akcji operacyjnej.

5. Zadania d-com komp. postawić bezpośrednio przed wyjazdem - dla zachowania ścisłej tajemnicy służbowej.

6. Linie okrażenia zająć z maksymalną szybkością i zakończyć ją do godz. 2.00 tj. 2 godziny po otrzymaniu wiadomości o umiejscowionej bandzie.

IV. ZARZĄDZENIA PRZYGOTOWAWCZE.

1. Od godz. 18.00 dnia 4.06.50 r. w skoncentrowanych pododdziałach został zarządzony stan ostrego pogotowia.
2. Środki łączności i transportu przygotowane zostały do natychmiastowego działania.
3. Celem utrzymania dalszej tajemnicy - w sztabie GO "B" i 4-go Baonu było rozpoczęte planowanie zmasowanych działań rozpoznawczych w rejonie Hornowo /2030/.

V. CZEŚCIOWA ZMIANA SYTUACJI.

W dniach 4-5.06.50 r. banda nie przysłała do rejonu, gdzie była spodziewana.

Dnia 5.06.50 r. około godz. 11.00 d-ca zasadzki ustalił, że banda "Jaskółki" w sile 3-ch bandytów przeszła w odległości 1 km. od miejsca zasadzki, lecz udała się w niewiadomym kierunku.

W n i o s k i:

a/ Banda przysłała w przewidziany rejon i należy być przygotowanym do otrzymania od PUBP Bielsk-Podlaski dokładnych danych o bandzie "Jaskółki".

b/ Data otrzymania wiadomości nie była ustalona, lecz w każdym wypadku należało się jej spodziewać między godziną 23.00 - 24.00.

V. PRZEBIEG DZIAŁAŃ:

Dnia 7.06.50 r. o godz. 23.45 d-ca GO "B" otrzymał dane od Szefa PUBP Bielsk Podlaski o pobycie bandy w rejonie 1,5 km. na zachód od Korzeniówka /2020/ w lesie /rejon przewidziany w planie "A"/.

O godz. 24.00 d-ca GO "B" otrzymał rozkaz o przystąpieniu do realizacji planu "A".

O godz. 0.10 dnia 8.06.50 r. pododdziały wyjechały jednocześnie: - 1-szy Baon i Komp. Spec. z Siemiatycze /1020/, 4-ty Baon z Boćki /2030/.

O godz. 1.45 linia okrążenia została zamknięta.

VII. DZIAŁANIA GRUPY SZTURMOWEJ.

Po zamknięciu linii okrężania - o godz. 2.15 grupa szturmowa wyruszyła w 2-ch grupach; jedną w sile plutonu dowodził d-ca GO "B" kpt. Taszczuk, drugą w sile 2-ch plutonów dowodził d-ca Komp. Spec. por. Ficiński.

Po upływie 10 min. 1-sza grupa natknęła się na bandę, śpiącą w dole, powstałym od wykarczowanego pnia drzewa, w wyniku głośnego zachowywania się żołnierzy a przede wszystkim okrzyku jednego z d-ców drużyn "banda jest" - banda, która dotychczas spała - obudziła się, zauważyła manewr grupy i otworzyła ogień w kierunku żołnierzy.

W wyniku 2-minutowego, częściowo bezładnego ognia grupy szturmowej - jeden bandyta został zabity, "Jaskółka" został ciężko ranny /dobił się ze swego pistoletu/, jeden bandyta "Marynarz" lekko ranny poddał się [po wskazaniu szeregu członków "siatki" i sympatyków, którzy pomagali oddziałowi - skazany na karę śmierci; wyrok wyk.], jeden bandyta "Batory" zdołał zbiec w kierunku południowo-wschodnim.

Zdobyto 2 10-strzałowe karabiny, 1 PPSza, 2 pistolety, 1 granat i około 200 szt. amunicji różnej.

W czasie walki został ciężko ranny strz. Kos Kazimierz, który znajdował się najbliżej bandytów i kula trafiła go w czoło. /w/w po przewiezieniu go do szpitala - zmarł/.

[zakończenia brak].

Sprawa śmierci „Młota” na podstawie moich notatek ze wspomnień Godlewskiego:

Z tego co wiem „Młot” przyszedł z Dybowskimi do Czai, do „Dęba” prosić go na przyjęcie imieninowe. Weszli do jego sto- doły i dali mu znać, żeby najpierw pozbył się gości. Dopiero wtedy mógł ich zaprosić do siebie. No, oczywiście, Godlewski zaraz poczęstunek itd. No, ale dał im tylko po kielichu - a tutaj jest że „Młot” niby pijaczyna był i mówi:

- Daj jeszcze więcej wódki. - Na to Godlewski odpowiedział, że:

- Nie, wystarczy tyle co dał - koniec. Wtedy „Młot” dowie- dział się że na zabawie w Czajach są milicjanci z Brańska i wtedy „Młot” daje polecenie Dybowskiemu rozwalić ich. Obaj bracia odmawiają. Według ich wersji „Młot” dostaje szału, wy- chodzi na ganek i strzela na wiwat i odgraża się, że on im pokaże itd. Godlewski opisuje: że Dybowski podbiegł i skoczył tygrysim skokiem na „Młota”, przewrócił go, zabrali mu kara- bin „dziesiątkę” i pistolet - rozbroili. I „Młot” taki roz- sierdzony - zawrócił się i poszedł na kolonię do Radziszew- skiego, gdzie spotkał jakiegoś partyzanta. Od niego wziął pi- stolet, od chłopca marynarkę i wraca z powrotem. W tym czasie Dybowski z jego bronią także idą w kierunku zabudowań Radzi- szewskiego. „Samozariadkę” „Młota” niósł najmłodszy z Dybow- skich - Poldek. Gdy spotkali „Młota” na drodze Poldek powie- dział:

- Panie komendancie - broń i oddaje mu ją, ale „stary” w rękę miał już pistolet, wymierzył w Poldeka, powiedział:

- Ja ci dam - i strzelił ciężko go raniac. Na te strzały Czesław pociągnął z automatu serię po „starym” i krzyknął do brata:

- Zobacz, ten stary dziad leży już gotowy. - Takie gadki były. Na to znalazł się tu „Huzar”. Podniósł pistolet „Młota”, który leżał przy nim i powiedział:

- Sprawa do wyjaśnienia. - „Młota” zawieźli do lasu. Z kolei Dybowscy zabrali Poldka furmanką i powieźli pochować. Ten który odwoził te ciało furmanką podejrzwał gdzie to jest [co?]. Pojechali (Dybowscy?) do Pobikrów i wzięli księdza, którego zawieźli do bunkra, gdzie leżał ciężko ranny Poldek, żeby ksiądz mógł go wypowiadać. Wypowiadał go i ten zmarł. Teraz tam na koloniach, do jednego z gospodarzy przyszedł Ryszard Radziszewski [?], kazał deski wiaść, zwołał jeszcze kilku i zrobili trumnę. Pochowali go na cmentarzu w Winnej. Za to pochowanie parę lat więzienia dostał grabarz, księdza wypuścili po 2-3 dniach, bo nic nie wiedział. Krzyż i pomnik „Młota” jest w Ciechanowcu.

To jednak nie był koniec historii, bo „Huzar” aresztował Czesława Dybowskiego i trzyma go do wyjaśnienia jako aresztanta. Sprawa musiała więc być niewyraźna. Niebawem jednak Czesław i Ryszard Bybowscy oraz Radziszewski Kazimierz „Marynarz” (który jest w oddziale niby u „Huzara”) uciekają z oddziału. Pewnie to „Marynarz” pilnował Czesława Dybowskiego. No i oni przenieśli się na teren pow. Sokołów Podlaski, gdzie ukrywali się do ostatnich dni „Huzara”. Dopiero w 1953 r. Dybowski przyszedł do domu i kazał matce pójść na posterunek, na milicję i powiedzieć, że on się poddaje i jego z domu zabrali [mowa o Ryszardzie Bybowskiem]. A ten Aresztowali go w 1956 r., a już w kwietniu 1957 był na wolności. Czesław to żył jak

yeti: zapomniał ludzkiej mowy, żywił się korzonkami i po drzewach łaził, żeby w zimie śladów nie robić. No i teraz ten Czesław siedzi tam sobie cicho i do nikogo nie przyznaje się, tylko ten Ryszard rozrabia, - wielki działacz jest.

Ja to podejrzewam, że Dybowscy dostali z UB polecenie zlikwidować „Młota”, bo UB w maju 1948 r. stworzyło fikcję, że oni mają w Radziszowie magazyn broni. A to prawdopodobnie UB nawiozło do chałupy jakiegoś starego żelastwa, żeby stworzyć pozór, że oni muszą się ukrywać, że są z tego powodu ścigani - że UB wykryło magazyn. I wtedy „Huzar” wziął i przygarnął ich. Ale tak byli kłótniwi, że po 4 tygodniach wypędził ich od siebie. Prawdopodobnie na spotkaniu z „Młotem” powiedział mu, że nie daje rady z nimi, więc „Młot”, jako stary żołnierz, powiedział:

- Daj ich mnie, ja ich utemperuję. - I tym sposobem przedostali się do „Młota”, bo bezpośrednio to na pewno „Młot” by ich nie przyjął - to więcej jak pewne.

Znając „Młota” to się nie mieści w głowie to co oni wygadują. „Młot” powiedział: Trzymać się wszyscy kupy, nie rozbijać się, bo tylko kto się odłączy to momentalnie go łapia i potem sypią ludzi. - To widać po aktach spraw. Jak np. zeznawał „Szarak”: byliśmy tu i tu - wszystko podawał. Np. podał, że był w bunkrze „Ryka”, o którym ja [czyli „Mikrus”] nie wspominałem na śledztwie, i teraz ubecy przychodzą do mnie i pytają się:

- A gdzie ten bunkier? - to co ja mam teraz mówić, udawać że dalej nie wiem o co chodzi, skoro i „Węgorz” tam był. Tam, w tym bunkrze, gówno było, ale jama była.

Również to co Dybowscy mówią, że „Młot” był pijany - to są jakieś bzdury. „Młot” mógł wypić, tak jak każdy, ale nie był

jakiś tam smakosz do wódki - to są wymysły bandziorów. Ja tylko raz widziałem go podchmielonego - na Boże Narodzenie w 1946 r. A tak - to broń Boże. Tak samo jak opowiadają brednie, że „Huzar” był mrukowaty, to tak samo „Młot” był pijak. My przecież cały maj 1947 r. chodziliśmy z „Huzarem”. Byliśmy na wspólnej akcji. „Tygrys”, „Radio” i ja byliśmy wydelegowani i od nich było trzech chłopaków: „Szwed”, „Krakus” i jeszcze któryś. „Szwed” to Łapiński Józef, który pod Łapami zginął. On cały czas ze mnie się śmiał. Podśmiewał się, pokpiwał, bo on był wysoki drażał - a ja jemu do pasa siegałem. Śmiał się:

- No, banda „Mikrusa” robi zasadzkę na samochód.

Jak przyszli na spotkanie, to ni byli szperaczami. Z „Krukusem” przyszli na kolonie. Ja stałem na posterunku i „Szwed” stanął koło mnie a „Huzar” poszedł do mieszkania, a my mieliśmy ubezpieczać, żeby w razie czego..., czy to nie jest pułapka, bo „Huzar” też był kuty... . No i widzę, że „Szwed” to siedzi jakby na moich plecach, dubluje mnie. Więc mówię do niego:

- Słuchaj kolego, ja na posterunku jestem. Ty mnie nie zagaduj. Jak masz swoje zadanie, to rób swoje, a ja muszę na posterunku stać i pilnować, żeby nas tu nie zaskoczyli i wtedy „Szwed” wycofał się. I tak się poznaliśmy [wyjaśnić dokładnie co to za spotkanie: czy to chodzi o spotkanie „Huzara” z „Młotem”, czy coś innego?].

Akcja nie udała się, bo przecież „huzarowcy” poujawniali się i kupę rzeczy.... .

Mieli wiadomość od swego wywiadu, że ambulansem z Wysoko-Mazowiecka będą przewożone pieniądze. I poszliśmy wtedy na Zambrów czy gdzieś - nie pamiętam już dokładnie. W każdym

badź razie UB wiedziało, że będzie zasadzka, tyle że spodziewali się że to będzie dalej od Wysoko-Mazowiecka, tam gdzie były lasy. A siedząc na zasadzce pod samym Wysoko-Mazowieckiem (jakieś 2-3 km. od miasta) widzieliśmy: za pierwszym razem dwa czy trzy wozy pojechały z wojskiem w kierunku Zambrowa, potem druga grupa i dopiero wtedy puścili wóz pocztowy, ale nie był to ambulans z pieniędzmi - to był taki zwykły samochód pocztowy. Zatrzymaliśmy go. Chyba „Szwed” i „Radio” wyskoczyli na szosę. Gdy samochód zatrzymywał się to ja i pozostali już byliśmy z tyłu. Od razu wskoczyliśmy na budę, na „kite” i „chodu”. W kabinie siedział ktoś kto znał drogę, któryś z „huzarowców”. Pewnie był to „Szwed”. Jechaliśmy jakimiś polnymi drogami. W samochodzie nie było żadnych pieniędzy. Jechało nim tylko kilku robotników. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że ten wywiad o tych pieniądzach to był taki sam jak dała nam pani Grabowska o pieniądzach przewożonych ambulansem pocztowym Siemiatycz.

Wtedy spod Wysoko-Mazowiecka odskoczyliśmy chyba gdzieś pod Lubowicz. Dla mnie był to nowy teren, to dobrze nie pamiętam. Łaziliśmy tam po terenie.

Jak w Głębocku, w Głodach robili szwadron „Lufy” - wtenczas wpadł „Sykstus”, „Jastrzab” i „Pijawka” - to z jego ludzi zostało tylko paru: „Listek”, „Wigo”, „Szarak”, „Wegorz”, „Śmiały” i „Lufa” szósty. No to już nie było szwadronu. Więc w marcu [1948 r.?] rozwiązano szwadron i wszystkich dali do szwadronu „Lecha”. Wtenczas szwadron „Lecha” liczył chyba 12 ludzi. Wcześniej było około 25: dwie drużyny. Tylko 12 zostało po kilku miesiącach.

- doszło to do mnie już przez inne osoby - Szafran - co mówiłem, że miał nam te papierosy kupić i dostarczyć, a on na nas sprowadził KBW. I był u mnie w notesie zapisany adres: Szafr. kol.[-onia] Ol. Ale oni już to wcześniej chyba odczytali. No i taką jakby konfrontację zrobili, bo mieli go już w sekretariacie za drzwiami, obok pokoju, w którym mnie przesłuchiwali. Mieli w stosunku do niego chyba jakiś plan. No i otworzyli przy mnie tą kartkę, i pytają się:

- Co znaczy te Ol. - Dla mnie Szafran od razu był podejrzany. Jemu należało się pchnąć go na pożarcie dla UB Niech ma nauczkę za sprowadzenie KBW. Niech się broni, pies go... No to ja mówię:

- Byliśmy tam, „Lech” nie miał pieniędzy i wysłał Szafrana, który miał kupić to i to. - A ten słucha za drzwiami i potem komuś potwierdził to, że tak rzeczywiście było. Wywieźli go do Białegostoku i on w ogóle nie siedział. Podobno miał w Sokółce jakiegoś znajomego szefa UB no i kacap kacapowi pomógł, wszystko rozmydliło się i nie siedział. Poszedł do domu. Jeżeliby był on czysty i ja patriotę wydałem, to on do dziś dzień mieszkałby na kolonii Oleksin, ale on już 50 lat temu kolonię zlikwidowali i do wsi poszli mieszkać. Jakby miał czyste sumienie, to po co by przenosił się?

Siedzę w areszcie w Bielsku (Podlaskim), otwierają się drzwi i klucznik Zdanowski mówi:

- No „Mikrus”, wychodź! - Wychodzę, a on mówi do mnie:

- Słuchaj. Szef zobaczył, że ty taki blady jesteś, biały, to kazał tobie, żebyś sobie na słońcu posiedział, żebyś troszeczkę porumienił się. - No to ja kombinuję: co tu może być? Usiadłem sobie przy drzwiach, na podwórzu a tam pewnie ktoś

mnie obserwował przez okno. I to ze dwa razy tak było, że wyprowadzali mnie na opalanie się. No, jak ktoś z boku by patrzył, to powiedziałaby, że UB tak troszczyło się o mnie. Wiem, że Jurek wygadał się o koniu, którego zabrali Kamińskiemu Janowi z Pawłowicz. Za karę, bo skurwysyn białorus, naprowadził UB na kolonię Boratyniec Laski, tam gdzie kwatrowaliśmy i tam „Bóbr” zginął. To było w kwietniu 1947 roku. Razem wtedy z nami, z patrolem „Lecha”, był i „Lufa”. „Bóbr” jak raz wieprzaka szlachtował, tego od Kamińskiego. No i ten zawiadomił UB i przyprowadził ich. Tego konia co mu zabraliśmy, chcieliśmy spieniężyć. No, z boku to wyglądało jak bandziorka, bo karę - jako - rolnik - dostał karę dolegliwą. Oczywiście po spieniężeniu konia pieniądze poszły na potrzeby oddziału. Były zresztą robione rozliczenia oddziałowe. Dzień po dniu wszystko co do grosza jest rozliczone. Z tym koniem było tak. Nasi zaprowadzili go do jednego z gospodarzy we wsi Łukawica. Ten sprzedał go dopiero w lipcu. Do tego czasu, przez całą wiosnę i początek lata obrabiał tym koniem pole. Specjalnie wziął go na przetrzymanie. Nic o tym słowa nie powiedziałem na śledztwie, ale Jurek zeznał, że Szafrana wysłali do Łukawicy po dobiór pieniędzy za konia i że przyniósł 25 tys. Ja na prawdę tego nie powiedziałem. I mnie za to wzięli za łeb, bo Jurkowi wierzyli, że ten analfabeta wie a ja nic o tym nie wiem, że to jest nie do wiary.

- Dlaczego ty nie gadasz?

A jak było z Teodozją Krasnodebską? Ja nie miałem wyjścia, bo przecież byliśmy tam z „Węgorzem”, który ją znał, no to jak miałem się zaprzeć i powiedzieć, że nie byłem u niej.

- Słuchaj - mówili mi ubeki - czy ty myślisz, że my jesteśmy głupszy od ciebie? Przecież byliście tam z „Węgorzem”. „Węgorz” czekał na ciebie. Byłeś?

-No, byłem - jak mogłem zaprzeczyć. Potem Krasnodębska miała sprawę. Byłem jako świadek oskarżenia na jej sprawie.

Oni mnie w Bielsku trzymali, bo tam sprawy mieli założone. Wozili mnie na te sprawy, ale jakby ja tylko coś nie tak powiedział, to dopiero by się za mnie zabrali. Co miałem robić? Moja dupa dla mnie ważniejsza była. Co tu dużo mówić. Za dużo nie mówiłem, ale coś musiałem.

Jak przewozili do Białegostoku mnie, to ręce spętali owijaczem, a nie kajdankami. Napętali te supły tak, że łapy aż granatowe się zrobiły. No i pelerynę zawiesili na wierzch.

Ja nie poszedłem siedzieć na ogólną celę. Wsadzili mnie na pojedynki. Cella była surowa - świeżo betonowana - tragedia. Kaloryfer był pod sufitem, we wnece, to ja na tą wnękę wlażyłem i do kaloryfera lepiłem się, żeby jakoś troszeczkę ogrzać się. Naczynie było, do którego prawdopodobnie było sikać, i w tym żreć dawali. Razem ze mną siedział gość, który nazywał się Maksymilian German. Pamiętam to nazwisko, bo dostał u mnie lanie. Chociaż tak niewielki wzrostem i szczupły byłem, ale mimo to dobry byłem. No i pan Maksymilian German co wtorek szedł do prokuratora i wychodził na wolność. Do Polski przyszedł gdzieś spod Wołkowyska i tu został ujęty. No i za każdym razem, po powrocie od prokuratora, mówił, że wychodzi na wolność. No i pytał się mnie, gdzie on się uda, jak jego puszczą. Wreszcie któregoś razu wygnali mnie spod celi. Dał mi [kto] miotłę, zaprowadził pod ogólne cele i kazał korytarz zamykać, a sam poszedł. Odszedłem na moment, ale po

chwili wróciłem na skrzydło pojedynek i widzę, że z mojej celi wychodzą: zastępca szefa UB Burdziej i mój śledczy Jan Kołtak i poszli do ustępu. Byli na rozmowie z Germanem w mojej celi. Specjalnie mnie wypędzili z celi zamiatać, żeby mogli z nim porozmawiać.

Wtedy jeszcze raz postanowiłem go sprawdzić, żeby już nie było żadnych wątpliwości. Dałem mu gryps napisany na kawałku gazety, bo tylko to było w celi. Dupę można było podetrzeć tylko palcem. Kiedy my przychodziliśmy [skąd? o co chodzi], to pół gazety zawsze wisiało, z tym marginesem żeby było. No i dałem mu list do „Jaskółki” i powiedziałem, że wystarczy, że zajdzie w Dziadkowicach do pierwszej lepszej chałupy, gdzie tylko przyjdzie, to dostanie automat, wyżywią go i skierują go do grupy. No i on wrócił od prokuratora.

- No i co, nie wypuścili ciebie?

- Nie.

- No to dawaj te kartki. - A on tych kartek nie ma.

- O ty, w kurwe jebany kacapie - jak zajebałem mu wtedy, jak brzuch skopałem skurwysynowi - od razu zwał kłapę [co to znaczy?]. Za kare powędrowałem na dwa dni do karca (w karcu okno było wyjęte razem z ramą). German to był tchórz. Pod względem siły, to może nawet i był silniejszy ode mnie, a jednak zrobiłem go przepisowo. Tak mu dopieprzyłem, że jak wróciłem po dwóch dniach do celi, to oko miał takie mocno granatowe, że mnie śmiech ogarnął.

W celi zastałem w niej jeszcze jednego: dali Litwina. Nazywał się Witold Knyza. Był w celi do mojej rozprawy. Wróciłem z rozprawy i Litwina zabrali. Mnie też zaraz stamtąd zabrali - przerzucili mnie piętro wyżej, gdzie siedziałem dwa tygodnie, do uprawomocnienia się wyroku. W tej celi siedział jakiś No-

wacki, czy Nowakowski. Mówił, że był w oddziale „P-8”. Ten gnój budził mnie w nocy, że ja jestem kapuś, że wsadzili mnie do celi, żeby jego rozpracować. Taki szczupły blondynek, taki picuś. No tak mnie zalaźł za skórę, że aż czasami formalnie płakać się chciało. Aż do transportu mnie tam trzymali.

Na sprawie nie pasował im mój wiek. Na siłę miałem się przyznać, że ja jestem nie 30-sty rocznik, a 27-my lub 28-my. Chodziło chyba o to, że mieli ochotę wlepić mi karę śmierci, a niepełnoletniemu nie bardzo im wypadało. Może, gdyby złapali mnie dwa lata wcześniej, to pewnie by i rozwalili, ale wtedy już chyba szukali podstaw prawnych - nie wiem, to przecież tylko takie moje domysły.

Po dwóch tygodniach, po uprawomocnieniu się wyroku, załadowali mnie w transport i do Wronek. A tam znowu to samo. Skrzydło B - to dział dalszego rozpracowywania więźniów. W każdej celi ekipa kapusi i kwarantanna. Jaka to cwana metoda. Kwarantanna trwała dwa tygodnie. Ludzie siedzą bez paczek, bez papierosów, bez wiadomości, bez niczego. No i teraz na cele rozrzucają, między kapusi. A ci i papieroskiem poczęstują, bo paczki dostają - inny świat. I wypytywanie o wszystko od początku. A przecież niezależnie od tego byli kapusie - pedały. Bo jeszcze i takich podsuwali. W jednej z książek o Wronkach spotkałem nazwisko Wejrauch. To był słynny skurwysyn - pedał. Z tym, że ja nie mam do niego żalu. Wiedzieliśmy, że to kapuś, więc dla nas był nieszkodliwy. No, ale pedał.

Jak w Korei była ta wojna, to we Wronkach zrobili selekcje. Tych, którzy byli na indeksie u nich, czy jak - nie wiem jak to nazwać - wyselekcjonowali i przerwucili na izolacyjny pawilon - pawilon 2. Ja byłem w tej grupie. W celi siedzieliśmy w piątkę: sedzia rejonowy z Przemyśla, kpt. Fronczak; prof.

Bronisław Eckert ze Stronnictwa Narodowego; ppor. marynarki wojennej Henryk Dąbrowski; Jerzy Fryze z Lublina i Stefan Dudka - Ukrainiec z UPA. No i 31 sierpnia 1950 r. wezwano mnie z tej celi na świetlicę, że mam tam się zameldować. Stałem tam ze dwie godziny - oczywiście twarzą do ściany, ale jednak kątem oka zauważyłem że jeden ze „speców” tam się kręcił. Nazywał się Józef Miller. W końcu wezwał mnie na świetlicę i zaczął wypytywać: jak tu się siedzi itp.

- A jakaż to różnica - powiedziałem - tak samo we Wronkach jak i w areszcie śledczym. A „spec” na to, że bierze mnie na świadka.

- Na jakiego świadka? Na rozprawę sądową czy co? - gram głupka, chociaż już wiem o co mu chodzi, o jakiego „świadka”.

- Nie. Ja was wezmę na pierwszy pawilon. Będziecie na celi siedzieli, będziecie dyskutowali na tematy polityczne, a potem ja was wezwę i wy w charakterze świadka zeznacie.

- O nie, dziękuję za takie przywileje - odpowiedziałem.

- No, jak nie, to nie, nie potrzeba. Nikt was tu prosić nie będzie. - I zaczął mi opisywać jakie to dziewczyny na wolności chodzą, w jakich sukniach, jak ubrane...

- A będziecie pisać prośbę o skrócenie kary, a my opinię wystawimy taką, że prośba zostanie odrzucona. - W dupę wsadź se swoją opinię, skurwysynu - pomyślałem. No, człowiek nie może plunąć w mordę takiemu skurwysynowi, musi udawać durnia i pokornego, no bo zgnoja skurwysyny przecież.

- A teraz pójdziecie na celę, spakujecie się i pójdziecie na pojedynek. - No i cztery miesiące siedziałem na izolatce, sam, za odmowę podpisania współpracy. Nie tylko chodziło o ukaranie mnie, ale i o to, by fakt ten nie przedostał się szybko do moich kolegów, że w dupie mam współpracę z nimi. A

przecież ja nie miałem ani pomocy znikąd, żadnych kontaktów. Izolatka jest tak wąska, że między łóżkiem a ścianą było tylko metr przestrzeni, może mnie. Jak człowiek chodzi po takiej celi, to ma ubranie wytarte na barkach, od stałego obijania się o ścianę. Pięć kroków w jedną stronę i z powrotem.

Gdzieś tak po dwóch tygodniach przyszli pod celę. Siedziałem na zydlu. Słyszałem jako idą, bo to cisza na korytarzu. I słysze, jak jeden drugiego pyta się:

- No co, przypomni?

- A huj z nim i z przypominaniem. - No i tak udaje, że ja nie widzę. Zobaczyłem, że podniósł się wizjer i ujrzałem w nim okuty daszek, czyli z gwiazdką musiał być jakiś huj. I na tym koniec.

Niedługo potem zabrali mnie z pojedynek, bo tych z lasu przetrzucali na pawilon pierwszy - skrzydło C. Cela 550 - na samej górze. Ostatnia cela - ciemna, tam ani słońce nie dochodziło, ani nic. Od razu trafiłem tak gdzie kapusie siedzą - do obrobki. No wiadomo, chodziło o to, żeby wyciągnąć z nas wspomnienia itd. W tym czasie akurat była wymiana pieniędzy. Dowiedziałem się, że nowe wyszły. Któregoś razu coś mnie podkusiło i powiedziałem durniowi, że będzie trzecia wojna i będziemy porządek robić [z komunistami]. Oj, ja dostałem wtedy szkołę: pojedynka do odwołania, dwa tygodnie ścisłego postu - tylko co drugi dzień: chleb i woda i nic więcej. Klawisz, żeby nie przemeczać się, to wodę z kranu lał.

Był taki oddziałowy Wachowiak - świński blondyn, białe rzęsy i brwi, ale bardzo rzetelny i uczciwy człowiek. Rzadko tacy się zdarzają. Któregoś razu z kawą przyhodzą.

- Post dzisiaj - zdziwiłem się. - Wachowiak spojrział na ambonę, czy nikogo tam nie widać i mówi:

- Nie pierdol, dawaj tą miskę. Dajcie mu kawy - powiedział do klawisza i znowu do mnie:

- Ogrzej się.

Innym razem nadeszła pora obiadu - twardo idzie do mnie i każe kalifaktorowi:

- Lać mu w miskę (mi obiad). Pewnie im ufał, chociaż wiadomo było, że większość z nich to konfidenci. To jak w ciągu tych dwóch tygodni mojej kary (ścisłego postu) miał służbę na pojedynkach, to ze dwa - trzy razy mnie żywił.

Nie pamiętam już dokładnie jak myśmy się z „Bimbkiem” spotkali - to było na czwartym pawilonie, na skrzydle B. On wtedy był analfabeta. Ostaszewski - „Szarak” - analfabeta, Szmurło Zygmunt „Kogut” - analfabeta (był od „Bartosza”). Potem spotkaliśmy się w Strzelcach Opolskich. Ja wyszedłem w 1957 r., 4 marca, a „Bimbek” w 1958 r., ze Strzelec Opolskich, a „Orszak” wyszedł wcześniej ode mnie - dożywocie na 18 lat zamienili mu i w październiku 1956 r. poszedł do domu. Sabin Jan „Wiewiórka”, w PAS-ie u „Jesiona” chodził - „zatiagał” on tak, mój ty Boże. W Strzelcach Opolskich siedział na izolacie. Szybko po wyjściu zmarł.

No nago rozebrany człowiek, jak małpa w tej klatce siedzi i rano przychodzi klawisz. Dostał gwiazdkę - był na szkołach chyba. Nowicki się nazywał. Przezywali go: „Wicie - rozumiecie”. Jak stanął w drzwiach i zaczął gadkę, to tylko w kółko powtarzał: „Wicie - rozumiecie”. Raz to naliczyli 60 razy. No, ja przykryłem rękami to swoje przyrodzenie i stoję jak Adam. A on rozkraczył się w drzwiach i pyta się:

- No i co. I co filozofie. Głowa muru nie przebije. - Do filozofa gada.

- No i co. A zameldować się niełaska. Co tak stoicie jak ta krowa o jednym cycku. - No i musiałem zameldować się w postawie zasadniczej. A na koniec wkopał do celi moją koszulę z kalesonami.

To za „Koguta” Szmurłę tak miałem, bo dałem mu lanie. Całe kciuki miałem porozbijane. Powiedziałem mu wtedy:

- Pamiętaj skurwysynie, jak powiesz za co dostałeś, to jak wyjdiesz, to cie, kurwa, znajdzie na końcu świata. Nożem cie upierdole.

- To był głupi, analfabeta, konfident. Jak go usprawiedliwić, wytłumaczyć - nie wiem. Złapali go gdzieś koło Sarnak, Korczewa? (Topczewa?), jak oddział „Bartosza” rozbity został. Jak go złapali - diabli go wiedzą. Powiedział, że idzie się do wojska zameldować. Zawieźli go do Siemiatycz. Gdzieś po pięciu dniach był w Siemiatyczach - a tam był przecież sztab grupy operacyjnej - no i tam wcielili go do KBW, ale broni nie dostał. Dostał czapkę okrągłą, pas, mundur no i jeździł z nimi i czyścił teren. Któregoś pięknego dnia „Kogut” im uciekł, ale niedługo potem znowu go złapali. Kręcił się tam Białowarczyk [kto to?]... . Poszedł do swego brata, u którego ukradł ubranie i pieniądze. To wszystko jakieś pokręcone - sam diabeł nie dojdzie.

W 1947 r., jak raz na Kazimierza, 4 marca, wzięliśmy wtedy „Koguta” do oddziału. To był miejscowy, ze Szmurłów. Wzięliśmy go tak z głupia frant. Na koloniach szmurłowskich kwatrowaliśmy. Jak raz był potrzebny amunicyjny dla erkaemisty, do noszenia amunicji. „Kogut” był taki zdrowy chłopak, to będzie nosił, ale on już 19 marca poszedł do domu, bo jak wszyscy szli się ujawniać, to i on poszedł, zwolnił się z oddziału. Wszystkiego był 15 dni w oddziale. Żaden tam z niego ide-

owiec był. Później z „Jaskółka” chodził. Diabli go wiedzo, jak oni się poznali. Białowarczyk z Sielca też był z nimi. Rzekomo gdzieś w sierpniu na szwadron „Bartosza” się wpakował, gdy ci kwaterowali w jakiejś wsi. Powiedział, że jest ścigany i ci znowu go wzięli. U niego był do czerwca 1948 r.

Jak mu wlałem, to było już po apelu, tak że komendanta straży musieli zawołać, bo tylko u niego były klucze. No i wtedy na pojedynek mnie zabrali i wpierdolili. Był taki Stasio Kominiek, Grabowski. Gdybym wtedy nie przewrócił się na „madejowe” łoże, to by mi stopy pomiażdżyli drzwiami. Tak mi stłukli wtedy nery, że jeszcze po latach je odczuwałem. Ręce wykręcili mi do tyłu, do góry, tak, że stałem tylko na czubkach palców i tłukli w nery, na odlew, kantami dłoni.

We Wronkach mieli fermę, w której świnie chodowali. No i zaczęły one chorować. Zaczęli je więc tłuc. No i teraz komu je dać? Swoim nie dadzą, bo przecież chore, no to dali więźniom. No i kasza i tej wieprzowiny. Ile tego mogło być, bo przecież 6 000 ludzi siedziało we Wronkach. Niech tam ze 100 ludzi było na diecie, a reszta żarła komiśniak. No i każdy podchodził, brał swoją porcję, podziękował i odchodzi. Patrzy co dali, a w misce cztery wielkie kawały słoniny. To dopiero smakowało. Kasza ugotowana na takim tłustym, że hej. Od lat tego nie było. Ale ludzie nie wiedzieli że to z mięsem i nikt nie prosił o więcej, bo do tej pory była tylko na dorszu gotowana, że śmierdziała. Do tej kaszy potrafili jeszcze dodać skonfiskowane ciastka i herbatniki i coś takiego trzeba było zjeść. No to teraz nikt nie przypuszczał, że ta kasza z prawdziwym mięsem. No i po obiedzie naczelnik zaczyna obchód ro-

bić po „śmieciuchach“, a u „śmieciuchów“ w kotłach pełno zostało tej kaszy. No i naczelnik wchodzi do celi i dawaj myszkować. Patrzy, a u nich cała micha mięsa pod stołem stoi.

- Skąd to mięso?

- Ano odnosiliśmy kotły, było w tych kotłach...

- I wy co? Zjecie to?

- No, oczywiście. Dlatego odłożyli my.

- No to joo waszu mać, siadajcie i jedzcie. - No to tak jedli, że aż pochorowali się i do szpitala poszli. No bo jak to można było zjeść. Jedną taką skwarę się zjadło i już miało się ślizgawicę w gardle nie do wytrzymania, bo za tłuste.

Przywieźli nas z Wronek do Strzelec Opolskich, no i posadzili do celi. Patrę: leży aparacik do golenia naz żyletką. Co tu się dzieje? - zastanawiam się. Nie chodzę, nie ruszam się i siedzę na zydlu aż przyjdą lokatorzy, bo cela na razie pusta. No, koniec pracy wreszcie i przychodzą.

- Kolega skąd?

- Z Wronek. - Jako że byłem czwarty, to musiałem z kimś spać jedna noc, bo łóżka nie było. No i patrę jak Stasiak (nazwiska nie pamiętam) przygotowuje się do spania, patrzy w lusterko i żyletką zaczyna golić się. No to ja podszedłem do drzwi, stanąłem twarzą do judasza i stoję, żeby zasłonić kolegę. Ten zobaczył i mówi do mnie:

- Koleś, po co tam stanąłeś?

- Przecież ty się golisz.

- No to co? Pójdiesz sobie jutro do kantyny i też kupisz sobie aparacik. - Ja pikolę, co za więzienie - myślę sobie zdumiony do ostatnich granic. Potem okazało się, że jest nawet sekcja boksu, to kucharze tłukli się po mordach. Dookoła ki-

bice i jedni dopingują jednego, drudzy drugiego. Zwycięzca puszy się dumny. Cuda tam były. Nawet chór więzienny był. Śpiewali m.in. Moniuszkę: „A echo, w lesie, po rosie, po rosie...”, do tego nagrody książkowe. No, czego tam nie było.

-

Czasami prowadziliśmy walkę z więźniami pospolitymi. Bywały sytuacje, gdy życie tego wymagało. Szczególnie miało to miejsce w Strzelcach Opolskich. Ci, którzy zatrudniali to mieli do wyboru, albo złodzieja, który był półanalfabeto, albo gościa, który był po maturze, który logicznie umiał myśleć i kombinować. Dlatego zatrudniali takich w biurze, bo ten ómek to nawet ołówka nie potrafił trzymać, czy tabelki porządnie narysować. Były więc takie przepychanki politycznych z pospolitymi. No i tak: lekarze chcą coś załatwić. idziesz więc do lekarza. Mówi, że w szpitalu w ogóle nie mają[słowo niewyraźne]. Było wyczerpane. Lekarz mówi: przyjdź za pięć minut. Przyszed.

- Masz - daje.

- Panie doktorze - mówię - jak ja mogę przyjąć, jak ja nie mogę zapłacić. Pieniędzy nie mamy żadnych.

- Proszę to wziąć, używać i czuć się dobrze. [O co tu chodziło]

Taki miałem wypadek. Tak reumatyzm mnie łamał w bark, że ja wyłem. To od tych wilgotnych murów, jak na parterze się mieszkało. Była tam [gdzie pracowała - izba lekarska?] autochtonkach ze Stelec Opolskich, znam jej imię tylko: pani Irene. No, super babka. Przyniosła salicyl w ampułkach.

- Proszę przychodzić. To jest jedna seria. Drugą będziemy walić jak nic nie pomoże - powiedziała. No i teraz, jak tej ko-

biecie zapłacić? Poszedłem do znajomego [gdzie on pracował?], a ten od razu powiedział:

- Co ty się martwisz? Przyniosę jutro pluszu. Przecież tutaj krojczy są, cholewkarze - No to momentalnie, skórę jej dobra-
li (cieleca) pod kolor (czarny) i piękne cholewki uszyte zo-
stały do małych pantofli. Zniosłem to na warsztat, do nacią-
gnięcia na kopyto i przygotowanie do obicia spodów. To
wszystko zrobione zostało w czasie pracy, tak że na fajrant
było już gotowe. Buty były takie ładne, że tylko do kościoła
w nich chodzić, albo na wystawę postawić, tak były odchucha-
ne. Teraz musiałem przenieść je do szpitala i dać siostrze.
To było ryzyko, bo trzeba było znaleźć odpowiedni moment. Na-
łożyłem kurtkę, że niby chory jestem i do lekarza się zapisa-
łem. A w rękawach kurtki miałem buty. Siostra była zaszokowa-
na. Nie wiedziała co zrobić, ale w końcu przyjęła.

I tak na każdym kroku sprawy były załatwiane. Lekarze szli
nam na rękę. Starzyści - kibice. No to chłopaki w try miga
uszyli piłki do nogi. Wszystko elegancko zszyte, dobrane, że
takiej piłki w sklepie żadnym nie ma. Portfele im uszyli, e-
tiu na cygara - no taką galanterię.

.... Jak się go pozbyć. [brak początku]. Gdzieś po dwóch -
trzech dniach [dwa słowa, jak gdyby imię strażnika Bolek?] -
on co trzeci dzień był, wtedy przychodziła jego zmiana, przy-
szedł i mówi:

- Na spacer. Wychodzić. - Drzwi otwarte zostawił i poszedł
otwierać następne cele. Ostatnią otworzył, ale wraca się do
mojej i mówi do mnie:

- Ty Drozdek zostań. Zostaniesz w celi.

- No, dlaczego panie Czesiu - zdziwiony spytałem się.

- Bez gadki, masztu zostać - powiedział ostro.
- Tak jest. - powiedziałem służbiście. No i przychodzi [kto? Czesio? czy korytarzowi jacyś?]. Wszyscy poszli, na korytarzu pusto a ten pyta się:
- Słuchaj, kto to jest ten Piskurewicz?
- No, ja bym tak za niego to i dwa gorsze nie dał.
- Dobrze, że pan tak mówi. No dobrze - mówi - Pan może by i nie dał 2 grosze, a my co mamy zrobić?
- A co, ja mam was uczyć? A weź kawałek płaskownika, zaostrz i na deskę mu, pod siennik. Będzie rewizja, będzie znaleziony i będzie wypierdolony - tak powiedziałem. No i z Cześkiem dogadali się. Zaostrzyli ten płaskownik. Ja pocztówki robiłem imieninowe, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc. To się kupowało dwie - trzy pocztówki i przez kalkę robiło się szablony i szło. No, nie było to takie jak w sklepie, ale też ładnie. Prawie jak przy taśmie w fabryce się pracowało. Za mnie robili na szwalni buty, a ja w celi zapieprzałem. Pod siennikiem miałem całą teczkę: brystol, akwarele, wsio. A oddziałowy, oczywiście, o tym wiedział, że to pod siennikiem. Jak kipisz szedł, przychodził do celi, zabierał to i do siebie, do dyżurki zabirał, gdzie trzymał to na szafie. Takie to były układy. No i jest kipisz. Cela przeryta, wszystkie sienniki przewracane. Przychodzimy i widzimy, jakby tu stado diabłów urzędowało. U Piskurewicza znaleźli nóż. Na drugi dzień wzywają go:
- Skąd ten nóż? - On był Bogu ducha winien, ale oddziałowy u niego znalazł ten nóż. Niestety. Ale Wujo [kto to, imię czy przezwisko?] wsadził ucho i oko na celę. Zastanawiał się, jak on się pozbędzie tego łapserdaka. No i dalej nic się nie dzieje z Piskurewiczem. Nie zabierają go. To już jest po-

twierdzenie. No to drugi nóż mu wsadzają pod siennik. Znowu nic. Wreszcie trzeci. Wzywają Piskurewicza i ten pewnie się tłumaczył:

- Panie szefie, ja na prawdę nie winien, to nie mój nóż. - A szef pewnie wkurzył się:

- Ty, w dupe jebany, ty na pewno w huja mnie robisz - No i go za dupe i na czwarte pietro, na pojedynki wywalili, za to że szefa okłamuje i noże robi i wynosi je.

Był taki oddziałowy. Przychodzi w nocy, jak ma służbę. No i słyszę, że wali ktoś do drzwi.

- Co jest?

- Chodź tutaj, do drzwi. - No wstałem z łóżka i idę.

- Co jest panie szefie?

- Papierosy masz?

- Mam.

- Weź mi wyrzuć przez drzwi dwie - trzy sztuki, bo zabrakło mi. Ja miałem taki worek uszyty z podszewki, w którym trzymałem papierosy. Wisiał na szczycie łóżka. Wyciągnąłem paczkę papersów, no ale nie przepcham ich przecież przez drzwi.

- Panie oddziałowy, niech pan zasuwę odciągnie - mówię. No, odsunął zasuwę i popcha [czy to te słowo?] w górę. Popchnąłem paczkę.

- Po cooo paczkę, człooowieeeeku. Prosiłem o dwa-trzy.

- Oj, wypali pan. - No, bo jak po ludzku podchodził, to jak mu nie dać tych papierosów. No i któregoś dnia ja siedze pod celo, był taki chłopak. Miał złą minę [czy ja dobrze to rozumiałem? Może miał słoninę?]. Przychodzi Bolek, stoi, patrzy i mówi w końcu:

- Słuchaj. Za co ty siedzisz?

- A co to, panie szefie, nie przeczytał pan w moich aktach za co ja siedzę?

- Ale, ja nie [brak dwóch słów] co tam piszo, tylko ty mi powiedz za co ty siedzisz? - No i ten opowiedział mu. On dopiero wtedy zobaczył co tu jest, dopiero mu się oczy otwierały [komu? o co chodzi w tym fragm.? czy to chodzi o tego chłopaka, czy o oddziałowego, że nie wiedział co się dzieje?].

A jacy byli ci złodzieje? Z Białegostoku był taki Mietek. Nazwiska nie pamiętam. Że ja siedziałem w Białymstoku, to już kolega dla mnie był. W niedzielę dłużej spaliśmy. No i oddziałowy robi pobudkę. Wszyscy przeszli [klawisze poszli dalej, czy o coś innego tu chodzi?], a my jeszcze dalej leżeliśmy po łózkach.

- Śpiący rycerze. A was co, nie obowiązuje pobudka? [o co tu chodzi. Co tu miał do tej sytuacji złodziej z Białegostoku?].

Wszyscy chorowali na to, żeby włosy mieć jak najdłuższe. Do fryzjera wszystkich za karę.

- Zezwolenie jest [od naczelnika na dłuższe włosy] - nie ma.

- Zezwolenie jest - nie ma.

- Zezwolenie jest - nie ma. A kapusie dostawali takie zezwolenie od naczelnika w nagrodę, a my za skóry (do butów) u lekarza. I z takim zezwoleniem od lekarza, to naczelnik mógł w dupę nas pocałować. A tamtym, jak podpadli, to golili pały na łyso. No i ja bez takiego zezwolenia przyszedłem do fryzjera. Pamiętam, że u fryzjera byli wtedy ze mną Waluś Walentynowicz i taki Helmut - Mazur. No i tak zeszedliśmy na dół, a tam zauważyłem, że Mietek [złodziej z Białegostoku] się kręci.

- A ty co tu robisz profesor? - bo złodzieje profesorem przezywali mnie, bo miałem okulary w takich żółtych oprawkach i

dlatego tak przezywali mnie. No i zdjął mi okulary z nosa, wsadził w swoją kieszeń i mówi do mnie:

- Zapierdalaj pod cele. - No i co ja mogę.

- No nie rób ze mnie balona.

- Idź, bo cie przypierdole, to tylko nogami zawiniesz. - No co miałem robić? Twardo idę pod cele i stoję przy drzwiach. Kible są już opróżnione. Przychodzi klawisz, ani pyta się co i jak, otwiera drzwi, ja biorę kibel, wchodzę do celi, a pozostali przychodzą za pół godziny, opędzani na łyso.

- No i jak to jest - pytają się?

- No przecież widzieliście. Mnie Mietek przecież odesłał - mówię.

- No, faktycznie - przytaknели. No i ja chodzę z włosami, a oni nie. Jakiś czas potem miałem wpadkę i Paciosa wysłał mnie do strzyżenia.

- Panie naczelniku - mówię - nie można, bo mam jakieś tam nerwowe choroby i włos musi być. Lekarze na to wskazali. I naczelnik odpieprzył się.

Innym razem siedzimy w niedziele w celi. Nagle słychać:

- Klap! - gdzieś klapa spadła. W niedzielę, jak cisza jest, to szczególnie dobrze słychać, jak klapa spada. Odgłos się powtarza, to tu, to tam i słychać rozmowy

- Czego!?! - pyta się klawicz.

- Panie szefie, ja chcę podanie pisać.

- No to co, to pisz.

- Ale ja chcę do „Profesora”, żeby „Profesor” mnie napisał.

- A co ty nie umiesz? [umiesz to nie błąd-J.K.].

- No, ja nie umie.

- A widzisz, trzeba było nie kraść, a uczyć się.- No targi, targi, w końcu słychać: trach, trach - poszły zasuw, drzwi

do celi otworzone i słycać: idą do mnie. Trach, trach, drzwi się otwierają. Klawisz nic nie pyta się, czy ten „Profesor” umie pisać, czy nie, otworzył drzwi, wpuścił klienta, zamknął drzwi i poszedł, a śpiący rycerz [Mietek, który leży na koi] nawet pocałuj w dupę nie mówi do klawisza. wchodzi taki Rysiu, z Sosnowca. Potężny chłopak, dwa siekacze wybite, ma tu dziurę. No faktycznie, czytać i pisać nie umie nic. I mówi:

- „Profesorek” - mówi - poradź, co zrobić. Kurza noga, wpadłem, nie i szef napisze raport.

- O co chodzi.

- Szliśmy po śniadaniu, żeby kotły i kosze odnieść do krów. No i jak raz z kotłów mięso wyjmowali. Obgotowane, do gulaszu. No i mrugnąłem na kompla (tam wszyscy oni mają „kompli”): niby bierz. W tym czasie nadszedł oddziałowy, więc złapałem to mięso i schowałem za pazuchę - i opowiada dalej jak to było. Przez pierwszy moment jeszcze było w porządku, ale mięso wyciągnięto dopiero co z kotła zaczęło parzyć i ten Rysiu zaczął podejrzenie kręcić się, żeby jakoś przesunąć to mięso, bo go parzyło, był przecież tylko w koszuli i marynarce. No i oddziałowy zwrócił uwagę:

- A co wy tak, kurwa, się kręcicie? - i Rysiu dalej opowiada mi:

- Wies (sepleniał przez tą szparę w zębach), a ja nie wiem, kurcza mać, nie, jak to zrobić - mówi szybko - Ja tu się kręcę, stary na mnie lipuje, ja tu odwracam się - no mówi to takim żargonem złodziejskim. Śmiejemy się jak cholery. No i jaki finisz? Idzie oddziałowy do niego:

- Odchył marynarkę - widzi mięso - A ty złodzieju. Do kuchni odnieść - no i raport napisał. I teraz Rysiu przyszedł po poradę prawniczą. Mówię:

- Słuchaj Rysiu. Dobry jesteś kumpel, ale złodziej i świnia.

- Rysiu słucha pokornie i za świnie nie obraża się, nic. - Słuchaj - mówie dalej - przecież ty mięso kradłeś i mojego kawałek, o Walenciaka, i Helmuta. To ty się masz mięsem obżerać a my co? Wodę z tego sosu? Nieładnie, oj nieładnie. No, to była strona moralna, ale teraz trzeba cie ratować, bo dopierdolo ci twardego łoża dwa tygodnie, że kości będą cię boleć. - No i ułożyliśmy taki plan. Najlepiej było by, żeby jak będziesz na raporcie u naczelnika (był jakoby z Białej Podlaskiej), to powiesz, że nieśliście te kotły. Jak wychodziłeś i zobaczyłeś te mięso, to tobie język prawie do gardła wpadł, taka chęć cię wzięła. No wzięłeś to co było najmniejsze i najbliższej ręki. Zrób odpowiednio zmartwioną minę - pokazałem jaką - i poszedł. Stał do raportu. Opowiedział jak to było, jak mięso przewracał, żeby jak najmniejszy kawałek znaleźć, że naczelnik aż się roześmiał i darował mu.

- Teraz masz nauczkę, żeby drugi raz nie kraść - powiedział mu na koniec, bo Rysiek był trochę poparzony. No, przychodzi Rysiu do mnie i mówi:

- „Profesor”, ty masz taki łeb - i zagiął odpowiednio łokieć

- Te huje, to wszystko barany, kurwa, głupie, nie. - No i nawet między swoimi tak mówił: „Profesorek” taaki ma łeb. Wie wszystko. - Od tej chwili zaczęło się: podanie - do mnie, list napisać - do mnie. To ja czy chciałem, czy nie chciałem to musiałem sie nauczyć. U złodziei miałem „glejt” ekstra.

Któregoś dnia wracamy z pracy. Pracowałem wtedy na kleju i z tej racji, dostawałem pół litra mleka. No i jak to idziemy, to cele jeszcze pozamykane, bo klawisz jeszcze nie zdażył po-

otwierać. Stajemy przy swojej, patrzymy do środka - pusta, nie ma nikogo.

- A u nas jest - mówią sąsiedzi. No idę do nich:

- Pokaż - i patrzę do środka przez lipo. Patrzę: „Orszak” jest.

Przyszedł klawisz, pootwierał drzwi i poszedł dalej dookoła, luz jest. Wchodzę do tej celi, podchodzę do „Orszaka” i mówię:

- Cześć Jasiu - on na imię Wacław ma, ale występował jako Jan. - No i co, poznajesz mnie? - A znaliśmy się od 1944 r.

- Nie, nie znam.

- To ja, „Mikrus” - a on oczy wielkie zrobił:

- Ty???! „Mikrus”???!

- Tak. - Ojjejjjej, on i ucieszył się i nie ucieszył się. Po śniadaniu została mi jeszcze ćwiartka mleka (dodawałem go do kawy), więc podaję Wackowi i mówię:

- Masz, pij. - No, ale ludzie popatrzyli, zaraz ta poczta pantoflowa doniosła co trzeba. Ludzie widzą, że ja taki z nim kolega...

Zaczął pracę. Po jakimś czasie wyrzucili go z takiej płaskiej maszyny na „flaszkę” (na tej maszynie zapiętki do butów przy-
szywał), ale i tam było dla niego za ciężko. No to, że nie wytrzymał, to stanął do raportu i prosił o przeniesienie. Ale, że to fachowiec i poszedł na krawca się uczyć. I w Strzelcach Opolskich poszedł do warsztatu: usługi krawieckie dla straży więziennej. Nie wiem dokładnie ile oni tam zarabiali - rzekomo 4 zł. za spodnie. Oczywiście klawisz niby płacił do kasy więziennej te opłaty, ale dla krawca przynosił kawał boczku, papierosów, tak że ci krawcy to mieli życie jak

u Pana Boga za piecem. No i Wacuś pracował w tym warsztacie.
[dokończyć]

Miałem raz we Wronkach dyskusję z takim gajowym z Tołwina k. Żurobina (okolice Siemiatycz). Taka „sucha nóżka”. No i mówię mu:

- Ty Stasiek uważaj, bo za kapowanie, to szykuje się dla ciebie... Bo jak przyjdą kluczami otwierać, to polecisz [czy chodzi o to, że jak przyjdą ludzie z zewnątrz, by uwolnić więźniów, po wybuchu III wojny?]. No i tak „uświadamiałem” go politycznie. No i drań doniósł o tym. No to od razu przyszedli i mnie na korytarz wzięli. Nie pamiętam już nazwiska tego klawisza, ale powiedział do mnie:

- No i co, zboczeńcu. Tobie Ludowa Polska się nie podoba. - i od razu odczytuje mi zaoczny „wyrok”: dwa tygodnie postu, do odwołania. No i przerzucili mnie na pojedynek, a ja przecież cały czas miałem kłopoty z oddychaniem, a ten krzyczy: szybciej, szybciej - i musiałem biegiem na trzecie czy czwarte piętro, w drewniakach.

A byli wśród nich i analfabeci. Przychodzi, kartkę rozłoży i mówi do wszystkich:

- No, kto się spodziewa paczkę?

- Ja, panie szefie - odpowiada któryś.

- No to masz.

- Ale to nie moja, panie szefie, tylko jego - i pokazuje na sąsiada. Potem się okazuje, że facet nie zna liter, tylko numery.

Na celach nie było napisane z jakiej organizacji tu siedzą i jakie wyroki.

Opowiadaliśmy sobie różne kawały. Np.:

Przychodzi oddziałowy. Słysząc w drzwiach zgrzyt klucza: trach, trach. Drzwi się otwierają, wszyscy podrywają się na nogi. Oddziałowy anonsuje, wskazując stojącego obok:

- Obywatel inspektor. - Starszy celi krzyczy:

- Bacznosc! - i melduje:

- Obywatelu oddziałowy, wiezien karny, Rzep Antoni, cela 352, stan pięciu.

- Dziękuję, spoczniście. Porozmawia z wami inspektor.

- Wi siedicie, no widze że siedicie - zaczyna z żydowskim akcentem - Wi - wskazuje na pierwszego z brzegu skazańca. - Wi, za co siedzicie?

- Obywatelu inspektorze, no byłem głodny, no... i

- Ja to bardzo dobrze rozumiem - odpowiada prędko - Ja to bardzo dobrze rozumiem. Wyście byli głodni i ukradliście. Będzie amnestia - wi wyjdziecie.

- A wi? - pyta się następnego.

- Obywatelu inspektorze, za WiN.

- Za WiN? Ouuuu. I kto będzie siedzieć? Ja będę siedzieć za was? Bedziecie siedzieć, bedzieeecie sieedzieć.

- A wi? - zwraca się do trzeciego.

- NSZ.

- Och! Kurwa mać! Encezet! Orientacja na Londyn! - Oddziałowy zamknąć drzwi - i inspektor wychodzi.

Drugi inspektor - Żyd - przychodzi do celi i pyta się:

- Macie jakieś zażalenia, prośby?

- Obywatelu inspektorze, kibel jest nieszczelny. Dniami i nocami siedzimy w tym smrodzie. - Inspektor odwraca się i mówi:
- Obywatel oddziałowy. Zapysz - kybeł. No, co jeszcze.
- Chodzi o co - obywatelu inspektorze - sa myszy, szczury. Mamy żywność odłożoną za oknem. No, niszczą to i nie ma rady, żeby jakoś z tym poradzić. - Inspektor odwraca się i mówi:
- Obywatel oddziałowy. Zapysz - szczuł, kybel (czyli szczuła do kibla).
- No dobrze, a co jeszcze?
- Przydałyby się książki, prasa.
- Ouu, wyście chcieli czytać? Ja to bardzo dobrze rozumim. Wy wiecie co? Ja naczelnika waszego znam. To bardzo porządny człowiek. Wy się w tej sprawie zwróćcie do naczelnika. (chodziło tu o to, że w żadnym więzieniu prasa nie była dostępna, chyba że w postaci porwanych kawałków zastępujących papier toaletowy).

Odbywa się rozprawa sądowa i prokurator - Żyd - mowę wali. Zwraca się do oskarżonego z zapytaniem (z nieodłącznym żydowskim akcentem):

- Wi, oskarżony Malinowski. Wi mi powiedzcie: co wyście chcieli od ta biedna Polska Ludowa? Ona wam dała wyswobodzenie, ona wam dała Ziemie Odzyskane, a wi?. A wi Malinowski, cholera, jak ten byk bydlawy, któremu za odrobinę zoły ściana, , to on jeszcze rogiem sztork.

Cygana sądzili. No i prokurator - Żyd - chyba z pół godziny mowę oskarżycielską mówił, że konia ukradli, że świniaka przez dach wyciągnęli z obory itd., no i w końcu ostatnie słowo ma oskarżony. No i cygan mówi do prokuratora:

- Dobrze panie prokuratorze. Ja to wszystko zgadzam się co pan gadał, ale ja mam jedno pytanie.

- No jakie?

- Kto za to wszystko będzie siedzieć, ja się pytam?

Relacje spisał w 1995 r. Jerzy Kułak.